Cena 6 zł.



ZDRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

ROK II. LUBLIN, 1 MAJA 1946 R. Nr 9

RYSZARD WROCZYŃSKI

PROBLEM ŁUŻYC

Najdalej na zachód wysunięty i najbliższy nam naród słowiański — Łużyczanie — upomina się o swoje prawa do niepodległego bytu. Niedawno wielkie agencje międzynarodowe opublikowały memoriał łużyckich Serbów do narodów sprzymierzonych, wyrażając wiarę, iż zwycięscy sojusznicy „dokończą dzieła wyzwolenia narodów i zwrócą Łużyczanom narodową wolność i państwową niepodległość". Nie wiadomo, jakie stanowisko wobec memoriału zajmie niedaleka już konferencja pokojowa. Najstarszy szczep słowiański w Europie mało znany jest w Polsce, jeszcze mniej na Zachodzie. Patrioci łużyccy, wśród których wojna i terror hitlerowski poczyniły znaczne wyrwy, dokładają wszelkich sił, by wywalczyć zrozumienie dla swych słusznych żądań. Czy im się to uda? Czy zdołają uchronić od zagłady szczątki narodu, co na przestrzeni lat 1500 z krótkmi tylko okresami swobody toczył nierówną walkę z niemczyzną o swoją narodową egzystencję? Pokaże najbliższa przyszłość.

Kraj i ludzie.

Łużyce—to kraj rozciągający się między Odrą i Łabą. Na południe sięgają po Sudety, na północy prawie po Berlin. Struktura geograficzna dzieli kraj na dwa odrębne regiony, które wycisnęły też piętno na obyczajowym i gospodarczym życiu ludności: Łużyce Dolne i Górne. Geografię Dolnych Łużyc kształtuje rzeka Szprewa ze swymi rozlicznymi odnogami. Jest to teren bagnisty, pokryty odwieczną puszczą (las Szprewski), słabo zaludniony, ubogi. Centralnym ogniskiem życia łużyckiego jest tu Chociebuż (Khoćebuz), ważniejszymi ośrodkami Łuków i Żarów.

W przeciwieństwie do Dolnych Łużyc — Górne przedstawiają obszary b. żyzne, gęsto zaludnione. Tu też jest główne centrum budzicieli (budźicerjo) łużyckiego odrodzenia narodowego i stolica kraju — Budziszyn (Budyszin), przed wojną liczący ok. 50.000 mieszkańców, w tym, według urzędowych niemieckich statystyk, 5 tysięcy Łużyczan, przez Niemców nazwanych Wendami. Źródła łużyckie podają liczbę Łużyczan na 150 tysięcy, z czego 90 tys. mieszkało przed wojną na terenie Łużyc Górnych. Poza Budziszynem ważniejszymi miastami w Górnych Łużycach są: Żytawa, Kamienica, Zgorzelec.

Struktura społeczna najmniejszego narodu słowiańskiego jest wybitnie robotniczo-chłopska. W Dolnych Łużycach znakomicie rozwinięty jest przemysł tkacki. Obok większych zakładów i fabryk rozwija się przemysł systemem domowym, chałupniczym. Stał się dzięki temu czynnikiem twórczych w dziedzinie zachowania odrębności narodowej. Jak u nas na terenie Łowickiego czy Kurpiowszczyzny, tak i w Łużycach domowy przemysł tkacki produkuje barwne tkaniny, oparte na rodzimych motywach zdobniczych. Stroje ludowe, dość powszechnie przez lud łużycki noszone, wyróżniają się malowniczością na tle szarzyzny otaczających słowiańską wyspę niemieckich **bauerów**. Masa ludności łużyckiej trudni się rolnictwem, przyczem kultura rolna wykazuje poziom bardzo wysoki.

Język łużycki należy obok języka polskiego, czeskiego i słowackiego do grupy języków zachodnio-słowiańskich. W grupie tej najbliższy jest językowi polskiemu. Dzieli się na dwa narzecza: górno- i dolnołużyckie.

Pod względem wyznaniowym Łużyczanie są przeważnie protestantami. Jedynie ok. 15% ludności (głównie w rejonie Wojerzeca) wyznaje katolicyzm.

Chociaż naród łużycki narażony był na przestrzeni długich wieków na destrukcyjne wpływy psychiki niemieckiej, to jednak wykazał zadziwiającą odporność i hart ducha. W wielowiekowych zmaganiach nie zatracał nic z najgłębszych wartości swej łużyckiej i słowiańskiej natury. Miłość ziemi, ukochanie narodowej tradycji, otwartość i szczerość, żywa religijność, słowiańska gościnność — oto cechy charakteru Łużyczan, zgodnie podkreślane przez wszystkich, którzy mieli możność zetknąć się z tym najbardziej nieszczęśliwym narodem słowiańskim. Ciężka walka z niemczyzną, świadomość osamotnienia wytworzyły poza tym w Łużyczanach rys melancholii, tęsknej zadumy, tak widoczny np. w utworach poezji. Znamienny w tym względzie jest hymn narodowy łużycki. Kiedy hymny narodowe innych wolnych narodów brzmią fanfarą wiary, kryją w sobie dynamizm i siłę, łużycki hymn narodowy sławi w rzewnej, tęsknej melodii prawość łużyckiej duszy i piękno łużyckiej ziemi:

„Rjana Lužica, sprawna, precelna
Moich serbskich wótcow kraj,
Moich zbožnych synow raj,
Swjate su mi twoje hona".

Przeszłość.

Przyznać musimy, że o przeszłości najbliższego nam językowo narodu słowiańskiego wiemy bardzo mało. Choć istniały przed wojną w Polsce cztery towarzystwa przyjaciół Łużyc, przeciętny polski inteligent wiedział o Łużycach niewiele ponad to, że w r. 1018 Bolesław Chrobry zawarł w Budziszynie zwycięski pokój z cesarzem niemieckim i włączył ziemię tę w skład swojego państwa. Czytelnicy powieści Kraszewskiego dowiadywali się ponadto, że jeszcze w drugiej połowie XIX w. w Dreźnie spotykał znakomity powieściopisarz starych ludzi, mówiących „serbskim" językiem. A jednak tragiczna przeszłość bratniego narodu, stanowiącego wraz z Obotrytami na północy pierwszy wał słowiański, przełamany przez Niemców już w IX i X w., tak bardzo wiąże się z polskimi dziejami.

Cała historia Łużyczan to tragiczne zmaganie się z Niemcami. Ciężkie, krwawe walki prowadzili Łużyczanie już za panowania Karola Wielkiego. Z tych też czasów pochodzą wiadomości o pierwszym księciu łużyckim Darwanie VII. Dopiero jednak w X w. ziemie łużyckie stają się łupem margrabiego Gerona. W r. 938 znany ten krwawy pogromca Słowiańszczyzny zdobywa największą warownię łużycką Lubuszę (koło dzisiejszej wsi Lebusa) i podstępnie morduje w czasie uczty pokonanych książąt łużyckich. Na krótki okres wyzwala Łużyce spod panowania niemieckiego Bolesław Chrobry. W r. 1034 Mieczysław II stracił Łużyce na rzecz dynastii Wattynów, ci zaś w r. 1303 sprzedali je brandenburskim Askańczykom. Względną swobodą cieszą się Łużyczanie w latach 1356—1620, w okresie przynależności do korony czeskiej.

W w. XVI i XVII rozwija się obficie piśmiennictwo łużyckie. Władze niemieckie jednak już w początkach XVIII w. przystępują do eksterminacyjnego niszczenia łużyckiego życia narodowego. Charakterystyczny w tym względzie jest zakaz z r. 1714 używania języka łużyckiego w urzędach. Drugim wielkim okresem wzmożonej intensywności narodowej Łużyczan i świadomych już dążności do zachowania narodowej odrębności jest połowa w. XIX, — okres Wiosny Ludów. Wtedy to dwaj duchowni: ksiądz katolicki Michał Hórnik i pastor ewangelicki Jan Smoler grupują wokół siebie wszystkich budzicieli łużyckiego życia narodowego. W r. 1847 założona zostaje w Budziszynie Serbska Maćica (Serbska Macierz), ogniskująca całe łużyckie życie duchowe pomimo coraz bezwzględniejszych dążeń niemieckich do zniszczenia odrębności narodowej kraju. Po klęsce Niemiec w r. 1918 powstaje w Budziszynie „Serbski Wubrjek" (Serbski Komitet), który usiłuje bronić sprawy łużyckiej na kongresie wersalskim. Walnego poparcia Komitetowi udziela wówczas polski językoznawca J. Baudouin de Courtenay, mijający specjalny memoriał filologów słowiańskich złożony kongresowi pokojowemu. Pomimo nieuzyskania autonomii okres powojenny znaczy się wzmożoną aktywnością narodową Łużyczan. Powstają liczne pisma, biblioteki, wydawnictwa, tworzą się łużyckie domy i świetlice, organizuje się nauczanie łużyckiego języka; aktywnie pracują liczne zrzeszenia gospodarcze, spółdzielnie, kasy samopomocy itp. Ten stan rzeczy zostaje gwałtownie przerwany w roku 1936, kiedy to zaczyna się eksterminacyjna walka z łużycką narodową odrębnością. Ma ona przebieg najbardziej tragiczny. Działacze narodowi łużyccy giną w hitlerowskich obozach koncentracyjnych bądź opuszczają swój kraj przy zupełnej obojętności Zachodu. Jedynie w Polsce i w Czechach budzą się skromne zresztą protesty i niewątpliwie szczere wyrazy współczucia. Już w r. 1937 następuje całkowita likwidacja łużyckich instytucji narodowych. Na rok przed pogromem Czechosłowacji i na dwa lata przed rozbiciem Polski wojujący hitleryzm wydał wyrok zagłady szczątkowej, stutysięcznej masie narodu łużyckiego.

Kultura duchowa.

Najstarsze utwory literatury łużyckiej sięgają jeszcze czasów średniowiecza. Są to, podobnie jak w Polsce, przede wszystkim pieśni i utwory religijne, poza tym opiewające ważne wydarzenia w życiu państwowym. Z tych starych zabytków łużyckich kultury duchowej najciekawsze są pieśni o królu serbskim. Pieśń o „Kralu Khrobłym" sławi zwycięskie walki z Niemcami naszego Chrobrego.

Okresem wzmożonego rozwoju kultury i piśmiennictwa łużyckiego były czasy humanizmu i reformacji. Wielu młodych Łużyczan studiuje wówczas poza granicami, m. in. w Krakowie. Rozwija się znakomicie w XVI w. piśmiennictwo w języku łużyckim (przekłady biblii na język górno i dolnołużycki, apokryfy, pieśni kościelne). Ustala się łużycki system ortograficzny, sprecyzowany w XVII w. w specjalnych gramatykach języka łużyckiego.

Drugim okresem wielkiego rozwoju kultury łużyckiej jest wiek XIX. W epoko-

(ciąg dalszy na str. 2-ej)



LEONARDO DA VINCI — GŁOWA CHRYSTUSA

ANDRZEJ ZEJLER
poeta łużycki

BOŻE SEDLESZKO[1]

Na Zmórcu[2]) płacze boże sedleszko,
Padają łzy mu na lica,
Płacze na górze, świerkiem obrosłej,
Przy jasnym blasku księżyca.

Świerki na górze pytają ducha,
Pyta pod górą buczyna:
Czemu sedleszko boże tak płacze?
Jaka tych łez jest przyczyna?

I na gałęzi krogulec słyszy
Żałosne sedleszka płacze,
Na czarnym świerku zbudził się ze snu,
Skrzydłami machnął i kracze.

I głos sedleszka słychać żałosny,
Łkaniami wciąż przerywany:
— Obszedłem wszystkie w prawo i w lewo
Ojczyste ziemi mej łany.

Widziałem, jak się mój lud łużycki
W grobowy całun obleka,
Jak dzwony dzwonią mu pieśń pogrzebu,
Dźwięk ich słyszałem zdaleka.

Krogulce, niechaj wasze krakanie
Mojego słowa nie głuszy;
Jeżeli żal mój wam nie po sercu,
Pozwólcie płakać mi w duszy.

(tłum. Bronisław Grabowski)

1) Boże sedleszko (albo sadleszko) jest to dobry duch, który — według wierzeń łużyckich — zjawia się w postaci dziecięcia w białej koszuli i płaczem zwiastuje bliskie nieszczęście.
2) Zmórc—góra w Łużycach na południowo-wschód od Budziszyna.

PROBLEM ŁUŻYC

(dok. ze str. 1-ej)

wym dla Łużyc roku 1847 powstaje w Budziszynie Łużycka Macierz (Serbska Macica), jako centralne ognisko narodowej kultury. W końcu XIX w. wybudowany zostaje w Budziszynie zniszczony dziś całkowicie wskutek działań wojennych Serbski Dom, mieszczący bibliotekę, muzeum, drukarnię, świetlicę, salę teatralną i koncertową, bank narodowy. Centralnym organem prasowym stają się wychodzące w Budziszynie w parotysięcznym nakładzie „Serbskie Nowiny". W Chociebużu wspierał je w dolnołużyckim narzeczu redagowany „Serbski Czasnik". Poza tym wydawany był miesięcznik literacki „Łužica" i kilka innych pism.

Znakomity rozwój w ostatnich dziesiątkach lat wykazuje poezja. Pojawia się kilka rzetelnych talentów. Wśród nich na czoło wybija się Jakub Bart - Ciszyński. Wydaje m. in. następujące zbiory poezji: „Krzidłom worjołskim", „Formy", „Kniha sonetów", „Ze ziwje nia". Poza Ciszyńskim w języku górnołużyckim piszą: Cieśla, Duczman, J. Nowak, A. Zejler. Najwybitniejszymi poetami dolnołużyckimi są Mato Kósyk i poetka chłopska — Mina Witkojć. Najbardziej znanym powieściopisarzem jest Jakub Lorenz-Zalewski. Czołowym utworem Lorenza jest „Wyspa zapomnianych", smutna opowieść o łużyckim narodzie.

Nakaz obowiązku i sumienia.

Problem łużycki wchodzi dziś w okres rozstrzygnięć decydujących. Rozwiązanie, jakie znajdzie sprawa łużycka na konferencji pokojowej, zadecyduje, czy najmniejszy ze słowiańskich narodów po wiekach martyrologii uzyska wreszcie możność swobodnego życia, czy też skazany zostanie na wchłonięcie ostateczne przez żarłoczny zawsze organizm niemiecki.

Z pożogi wojny Łużyce wychodzą poważnie zniszczone. Centralny ośrodek łużycki — Budziszyn — ucierpiał bardzo. Po Serbskim Domu pozostały jedynie ruiny, zniszczone są biblioteki, muzea, drukarnie. Jeszcze dotkliwsze są ciosy w dziedzinie duchowej. Mały, stutysięczny naród, o strukturze robotniczo-chłopskiej, żyjący od wieków w masywie obcego i wrogiego żywiołu, nie mógł wytworzyć licznych kadr inteligencji. Wśród kilkudziesięciu wybitniejszych pisarzy, poetów, uczonych, artystów, nauczycieli, działaczy narodowych starszej generacji wojna poczyniła wyrwy znaczne. Żyje slawista Mikołaj Krećmar, przetrwał burzę wojenną sędziwy muzyk Brajnat Krawe, tworzą w dalszym ciągu poetka ludowa Mina Witkojć oraz pisarz i malarz, tłumacz literatury polskiej na język łużycki Marcin Nowak, aktywny jest zasłużony działacz społeczny Michał Nawka. Żyje dr Jan Cyż, obecnie pierwszy od wielu setek lat starosta - Łużyczanin w Budziszynie, Paweł Nedo, obecnie organizator narodowego szkolnictwa, czynna jest żona dr. Cyża, córka znakomitego budziciela, Marka Smolerja. Przetrwało jeszcze kilku wybitniejszych przedstawicieli starszej generacji. I to wszystko.

Nadzieje narodu łużyckiego wiążą się z pokoleniem młodym. Przed wojną kilkudziesięciu Łużyczan studiowało na uniwersytetach czeskich, kilku w Polsce. Dziś wszyscy oni stają u warsztatu narodowej sprawy.

Jakież są dziś zamierzenia narodu łużyckiego? W marzeniach najśmielszych — pełna niepodległość miniaturowego państewka. Przeważa jednak sąd bardziej umiarkowany: sfederowanie się jako autonomiczny kraj z Czechosłowacją względnie Polską. Orientacja czeska przeważa, jakkolwiek i geograficznie i językowo naród łużycki bliższy jest Polsce. Dziś, kiedy granice nasze wsparte są o Nisę, Łużyce stanowią sąsiadujący z nami kraj słowiański. O ile jednak w Czechosłowacji sprawa łużycka jest ogromnie popularna, wydaje się szereg publikacji informacyjnych w języku czeskim, tworzy się ośrodki wydawnicze łużyckie, których brak jest w zniszczonym Budziszynie, wspiera się akcje Łużyckiego Komitetu Narodowego na terenie międzynarodowym, o tyle w Polsce, poza przygodnymi wzmiankami w prasie, na ogół jest o sprawie Łużyczan cicho i głucho. A jednak i my, podobnie jak Łużyczanie, mamy jedyną chyba w dziejach szansę, by łącznie z wyspą łużycką wytworzyć na Zachodzie mocny masyw słowiański przeciw ujarzmionej dziś, ale zawsze groźnej niemczyźnie. Trzeba podjąć akcję, wszczętą w r. 1918 przez Baudouina de Courtenay. I przeprowadzić ją ze skutkiem lepszym, niż wówczas. Jest to nie tylko nakaz obowiązku i sumienia wobec pobratymczego narodu. Jest to nakaz polskiej racji stanu.

WITOLD ZALEWSKI

UCIECZKA

Reflektor prześlizgnął się po ziemi, po barakach, po jego bladej twarzy. Z niej starł zamyślenie, rozmarzenie, wyraz tęsknoty. Oczy zachwycone gwiazdami spojrzały ostro. Powrócił pod ścianę baraku, niewidzialny dla tamtego na wieży, czujny, zaciskając pięści. Znów wiedział, do czego dąży, czego pragnie. Rozważał. Czekał. Była godzina jedenasta. Jeszcze tyle chwil opętanych nadzieją, tyle oddechów. Reflektor skosił ciemność, zgarnął bolesne milczenie, objawił grozę pola, baraków. Przeraziła go ta pustka, ta niezgłębiona, tajemnicza, nieludzka ziemia. Poszukał ratunku na niebie i aż zdziwił się od ogromu gwiazd. Było ich tyle. Mrużył oczy, a wtedy niebo chwiało się, przybierając fantastyczne kształty. Gdzieś za drutami jeńcy rosyjscy śpiewali „Wołgę". Ale tylko przez chwilę wiatr kołysał pieśń nad martwą ziemią. Upadła przygnieciona ciszą, niebem, — skonała. W baraku, o który stał oparty plecami, działy się sprawy conocne. Zapadali w sen, z trudem łapiąc otwartymi ustami ciężkie, przegniłe powietrze. Leżeli jak topielcy, na dnie błotnistego jeziora. Ogromne, złe szczury biegały po baraku, piszczały, gryzły wszystko: drzewo, resztki brukwi, puszki po konserwach, dziurawe buty—całe jenieckie życie. Z belek i górnych prycz spadały na zagubione we śnie twarze pluskwy twarde i ciężkie. Pod kocami na spoconych, wilgotnych ciałach gnieździły się wszy. Spali. Czasem któryś wstawał. Odurzony snem, z głową, pełną widm, pijany, wychodził przed barak, wzdychając, podtrzymując gacie na wychudzonym brzuchu. Tam ciepłą strugą moczu zwilżał jałową, niemiecką ziemię. Andrzej słyszał skrzypienie drzwi raz i drugi, kiedy tamten wracał do baraku. Siostra dyżurna snuła się w ciemnościach zaspana, ale pełna miłosierdzia. Tamten wymijał ją, gubiąc jakieś słowo. Rozbijając się boleśnie, odnajdywał swoje miejsce. Zasypiał w ślad za towarzyszami. Śnili. Handrysiowi co noc odrastały ręce. Krzyczał. Kapral Gral odzyskiwał wzrok. A tylko Felek Kiełczykowski zmagał się ze swym bólem. Olbrzymie ciało, zwał mięśni i ścięgen — walczyło. Aż tutaj, pod ścianą baraku, Andrzej słyszał jego jęki. Już był wolny od tej ropy i śmierci, która krążyła między pryczami. Wielka biała ćma reflektora bezszelestnie przemknęła nad polem. Zrobił pierwszy krok ku wolności i zaklinał się, że nie powróci tutaj umierać. To było w nim najsilniejsze, przemożne: strach przed biernością wobec śmierci. O ileż łatwiej wydawało mu się umrzeć pod gwiazdami, walcząc, wyzywając los. Sądził, że potrafi zginąć, nie czuł się na siłach umierać. Przerażała go też zbiorowość konania. Nawet śmierć była tutaj wspólna. Umierali najczęściej w kilku, jakby na wyścigi, jakby śpiesząc się i zwykle nocą. W dzień barak wyglądał jak trupiarnia. Układano zwłoki na nosze, przykryte papierowymi workami. Zdrowsi koledzy oddawali salut. Drogą przejeżdżał wóz zaprzężony w siwe konie, wyładowany trumnami. Potem liczono, ilu ubyło z baraku i, ponuro dowcipkując, nie patrzono w stronę ciężej chorych. Miał tego dosyć.

Za drutami płaski kraj leżał na wznak pod gwiazdami. Nie było w nim nic ciekawego. Fragment lasu na horyzoncie, kępa domów po lewej stronie, trochę krzaków, cisza. Raz tylko zagwizdał pociąg. I to przypomniało Andrzejowi istotny sens tego wszystkiego. Musiał dopaść lasu zaraz po wyjściu z podkopu. Domy trzeba ominąć z dala. A na gwiazdy spojrzał z niechęcią. Było widno, jak w dzień. Znów jął obliczać. Do tej pory wszystkie elementy zgadzały się i, punkt po punkcie przygotowywane starannie, miały mu wrócić wolność. Uśmiechnął się, myśląc o tej chwili. Wiedział, jak nieodwołalna jest i niezawodna. A przecież wierzył, że go zaskoczy czymś niespodziewanym. Przygotował się na każdą przygodę. Czuł w sobie jakąś skupioną energię. Wiedział, że zdany jest na swoje wyłącznie siły.

Ktoś szedł, tłumiąc kroki. Żwir chrzęścił pod nogami. Sunął w powietrzu, przesyconym niebem, płynął. Andrzej poznał Macieja. Jakże go lubił w tej chwili. Czekała ich przecież droga długa, w której nieraz mieli siebie ratować. To była przyjaźń najwierniejsza, gotowość do ofiary połączona z ufnością, jaką się obdarza dobrego dowódcę. Zrównali się w cieniu baraku. Maciej był spokojny, jak zawsze. Miał twarz zaznaczoną kilkoma śmiałymi liniami, prostą, niewyszukaną, a piękną.

„Jesteś gotowy?" szepnął. Maciej przeciągnął śniadą dłonią po twarzy. Ukazała się spod niej inna, postarzała o jakąś myśl drugą.

„Słuchaj. Wieczorem Lucke oznajmił mężowi zaufania, że w razie ucieczki któregoś z jeńców nie wyda paczek". Patrzył uparcie w Andrzeja, który zaniepokojony usiłował zbagatelizować wiadomość. Zrozumiał niebezpieczeństwo.

„Drań, straszy tylko. Jak może nie wydać".

„Może. Tak samo było w Hoyerswelde". Wstrzymywali wydawanie paczek przez dwa tygodnie. Przecież zawsze znajdzie się jakiś pretekst. A ty wiesz, co znaczy dla nas jeszcze dwa tygodnie głodu. Jurek Garbaty wykończy się, jeżeli będzie tak głodował jeszcze przez tydzień. Musimy poczekać, aż wydadzą paczki".

Był zdecydowany. Cóż mógł przeciwstawić Andrzej męskiej woli, odwadze, żelaznej naturze tamtego. W głowie miał zamęt. W jednej chwili zrozumiał, że nie przekona, że nie zmusi Macieja żadnym argumentem do zmiany decyzji. Czyż miał mu mówić o swych zmarnowanych możliwościach, o talencie. O dziełach, które chciał stworzyć, żeby uszczęśliwić ludzi. O Joannie, która czekała, patrząc może w tej chwili w gwiazdy, zapłakana. I tak by to nic nie pomogło. Tamten stał przed nim twardy jak żelazo, nieczuły, obojętny, wrogi. Księżyc oświecał jego czoło wciśnięte jak hełm na twarz zakrytą cieniem.

„Więc rezygnujesz? Bo jeżeli nie uciekniemy dzisiaj, to jutro uciekną ci z piątki, właśnie podkopem. Mówił mi Tan, że już są prawie gotowi. Moim zdaniem to są głupstwa..."

Przerwał, widząc bezcelowość wysiłków. Głos jego mijał wysoką postać, opływał ją, niknął w ciemności, w ciszy, dręczącej obóz. Wątpliwe, czy docierał do świadomości Macieja. Że nie było mu lekko, świadczyły tylko zafrasowane oczy. Ale Andrzej już im nie wierzył. Maciej położył mu dłoń na ramieniu (chciało się płakać).

„No, a ty co robisz, stary?"

Dlaczego ma udawać Chrystusa? Dlaczego Joanna ma rozpaczać? Dlaczego ma nie napisać książki? Ale to wszystko powiedział sobie. Nazewnątrz milczał.

„Sądzę, że zostaniesz, powinieneś zostać".

Maciej był twardy, jak obowiązek, jak zwycięski wróg, jak Bóg wie co. Andrzej nienawidził go w tej chwili, podobnie jak drutów kolczastych, o które pokaleczył rękę. Ale była to nienawiść najgorsza, maleńka, złośliwa, przepocona strachem.

„Jeżeli nawet nie uciekniemy, to myślę, że my i tak wytrzymamy. Jesteśmy przecież zdrowi. Ale tamci. Nie wiem, czyś słyszał, że Jurek Garbaty uratował mnie w Warszawie z palącego się szpitala".

Na szeroko rozstawionych nogach, ze smutnym, ale nieinteligentnym spojrzeniem, podobny był do wołu, czekającego na cios.

„Masz rację, trzeba zostać" — Andrzej wyciągnął dłoń.

* * *

Kiedy wydostał się z podkopu, długo nie mógł złapać wolnego powietrza. Przeczołgał się kilka metrów z twarzą ukrytą w suchej, kłującej trawie. Potem zerwał się i pędził w kierunku lasu. Szumiał mu zdaleka, jak wolność. Nogi niosły lekko. Powietrze i radość rozpierały płuca. Potem reflektor ukazał się, jak duch. Padł na ziemię i przycisnął się do niej mocno, co tchu. Słyszał echo swego serca w tej obcej ziemi. Reflektor, jak nietoperz, zakołował nad polem, przemknął nad Andrzejem, zwinął skrzydła na wieży strażniczej. Biegł dalej lekko, na wyścigi z radością. Dopadł lasu. Pierwszą sosnę chwycił w objęcia jak pannę. Usiadł przy niej i śmiał się nerwowo, bezgłośnie, z odcieniem triumfu. „Maciuś, głupi Maciuś" — pomyślało mu się. Świeciła gwiazda przewodnia.

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

„ORFEUSZ"

poemat dramatyczny
(fragment)

SCENA I.
Kawiarnia w Delfach.
Oberzysta. Grek I. Grek II.

Oberzysta

Jak się panom u nas podoba?

Grek I

Owszem bardzo, bardzo.

Oberzysta

Najwięcej uczęszczany lokal. Grecy powiadają, że zachwycający zapach kosmopolityzmu. Coś niby paryskiego — panowie rozumieją. Cudzoziemcy mówią, że atmosfera zupełnie grecka. Ekstrakt delfickości. To teraz modne dzięki Orfeuszowi i tym jego cudownym historiom...

Grek II

Ano — podobno ujarzmia ocean, obłaskawia lwy. Cały świat o tym mówi, więc i ja przyjechałem do Delf, by zobaczyć...

Oberzysta

Może kawki? — Chłopiec, dajno nam kawy. Jeśli chce pan dowiedzieć się u źródła, to tylko do nas. Orfeusz bywa tu prawie codziennie.

Grek I

Mówią, że wynalazł sposób na ułatwione życie i ułatwioną śmierć.

Oberzysta

E, panie, może i wynalazł ten sposób, ale że sposób sam nie jest ułatwiony to pewne. Ja tam słucham ciągle tego ich gadania, tych dyskusji i niczego mi to dotąd nie ułatwiło, chyba sprzedanie kilkudziesięciu beczek wina więcej, bo jak się rozgadają, to piją jak smoki. Ale z tego nie taka znowu pociecha. Wielu na kredyt pije. Towarzystwo sobie dobiera ten Orfeusz osobliwe. Ci niby uczniowie, — obdartusy przeważnie.

Grek II

Co pan mówi — he, he...

Oberzysta

A jeszcze mi żonusia głowę suszy, że bezbożnością nasiąkam. Bo to on ma i przeciwników, panie, i brzydkie rzeczy o nim gadają.

Mówią, że człowiekowi przyrodzony jest strach i gdyby strachu nie było, nie byłoby i poszanowania bogów. A on chce strach z człowieka wypędzić. Z przeznaczeniem walczy.

Grek II

A ta jego sławna pieśń o śmiechu wyzwalającym. Podobno ona w ten sposób ujarzmia te lwy czy jak tam... To mnie bardzo interesuje.

Grek I

Czy to prawda, że on ma oswojonego żółwia, który się śmieje jak człowiek?

Oberzysta

Miał, panie, oswojonego żółwia. Zwyczajne było—z przeproszeniem—bydlę. Nie widziałem, żeby się kiedy śmiał. A i tego od niego wyłudził jeden taki melancholik. Nie wiem, czy mu to co pomogło. Tak, tak. Rozdaje wszystko i dlatego moim zdaniem nigdy się nie dorobi. A mógłby się dorobić — ohoho — on ma popularność, panie. Ludzie przyjeżdżają Bóg wie skąd. Zresztą i nie dziwię się — co pan chcesz. Uleczył jednak wiele osób. Tylko trzeba wierzyć w tę jego niby naukę.

Grek II

Uleczył?

Oberzysta

No — pan rozumie. Mało to rozmaitych wykolejeńców na tym świecie. Taki wszystkiego się chwyta. Podstarzali atleci, kobiety porzucone przez mężów, chorzy na rozmaite choroby nieuleczalne, niewolnicy albo tragarze lektyk, co wiedzą, że rzadko który w ich zawodzie dociągnie do czterdziestki.

Grek I

Więc on ich leczy śmiechem? To musi być bardzo wesoły człowiek.

Oberzysta

Czasem jest nawet w dobrym humorze, owszem — wypić lubi, zaśpiewać, ale mówiąc między nami, jak kto chce rozrywki odpowiedniej dla młodego człowieka albo takiego, co jeszcze może ujść w tłoku za młodego,

(robi oko)

to radzę do cyrku. Linoskoki przyjechali i tancereczka jedna... Papierosa?

(częstuje)

Grek I

Dziękuję.

Oberzysta

Żonę ma ten Orfeusz milutką.

Grek II

Miałem już przyjemność poznać.

Oberzysta

Trochę ciekawa chłopców, ale to ludzka rzecz. Głupie bo młode. Zresztą przykładne małżeństwo, proszę pana. Ja zawsze żonie mówię: szanuj mnie, złotko, bo w całych Delfach jest tylko dwóch solidnych mężów — Orfeusz i ja.

Grek II

Prędko mogą przyjść?

Oberzysta

Powinni już być. Ale on jest trochę ekscentryk. Ma takie różne bziki. Teraz na przykład zwariował na punkcie centaurów. Włóczą się razem po górach całymi dniami, a potem gdy wraca, to bestie jak pieski za nim przez miasto. Nieraz aż pod sam dom. Ludzie chowają się, a ja drżę ze strachu, żeby im kiedy nie przyszło do głowy wleźć tu i potratować wszystko. Tyle pieniędzy kosztowało urządzenie.

Grek I

Przecież są teraz ujarzmione.

Oberzysta

Ostrożność nigdy nie zawadzi, proszę pana. Jak taki uderzy kopytem — zabije na miejscu. Ale właśnie Orfeusz...

Orfeusz

(wchodzi)

Co za noc dzisiaj. Czy słyszycie, panowie, tupanie? To centaury — przed chwilą odbiegły. Chwała Bogu, bo trudno byłoby wprowadzić na scenę centaura.

Grek II

Pan je ujarzmił?

Orfeusz

Właściwie nie wiem, kto kogo. Fakt, że jesteśmy ujarzmieni — ja i one. Wspaniałe zwierzęta. Mają poczucie humoru, a przy tym skłonność do melancholii.

(deklamacja)

Gdzież wyborniejsza kompania
w taką wiosenną noc,
jak centaury dzikich gór,
bóstwa wesołe i sprośne.
Stosowni to przyjaciele
opilca oraz kpiarza
i filozofa, co bywa
jak oni barbarzyński.
Więc lekkomyślną tą odą,
pochwalmy pijane uroki
centaurów i swawolnych
kochanek ich i tej nocy
wiosennej...

Oberzysta

To było zabawne, że tak powiem, ale mówmy już o czym innym.

Orfeusz

Cóż, przyjacielu, mam słabość do kosmaczy, odkąd nasza wyrocznia orzekła, że zginę rozszarpany przez kosmate kobiety.

Oberzysta

Nie braknie w naszej Grecji tej przeróżnej hołoty. Satyry, centaury, menady...

Orfeusz

Menady...

(zamyśla się)

Grek I

Czy to prawda, że one jedzą trawę wprost z ziemi obuszczęk jak krowy?

Oberzysta

Niektóre po pewnym czasie zapominają mówić, proszę pana.

Grek II

Ciekawy tu kraj, doprawdy.

Orfeusz

Nie było Eurydyki? Pójdę jej poszukać.

(chce odejść)

Grek II

Pan daruje, ale ja chciałem zapytać — specjalnie przyjechałem do Delf, by pana poznać. Jestem trochę filozof-amator, a trochę kolekcjoner osobliwości tego świata.

Orfeusz

Jednym słowem człowiek ciekawy i mający dużo wolnego czasu.

Grek II

Właśnie, właśnie.

Orfeusz

Ta jest różnica między nami, że ja jestem wprawdzie ciekawy, ale nie mam czasu.

Grek II

Ach, tak...

Orfeusz

Dzisiaj jednak mam wyjątkowy humor i wobec tego oddaję się na kwadrans do pańskiej dyspozycji.

Grek II

Dziękuję bardzo. Pan usypiał, o ile się nie mylę, ocean oraz lwy i słonie, czy jest jakie naukowe wytłumaczenie tego faktu? Jakaś filozoficzna koncepcja? Doszły mnie słuchy o pańskiej teorii śmiechu.

Orfeusz

Z tym ujarzmieniem to skomplikowana historia. Trudno mi wyjaśnić, dlaczego moje zachowanie spowodowało to lub tamto, mogę tylko wyjaśnić, co chciałem spowodować. Otóż po raz pierwszy ujarzmiła ich właściwie sytuacja. Kiedy mnie otoczyły, zacząłem się śmiać. Taki nałóg, jak u innych papieros. A gdy się człowiek śmieje— przynajmniej tak mocno, nie można się już bać, w każdym razie jest to utrudnione dla istot prostolinijnych, pozbawionych — nazwałbym to—bryłowatości psychicznej. Otóż dzięki brakowi tej psychicznej bryłowatości nie bałem się wtedy. Zwierzęta mają ostry nos. Gdy poczują strach, jest to dla nich hasło do mordu. Ale strachu nie było, więc i mordu nie było. Potem same zdumione były tym, że mnie nie tknęły, przestraszone nawet. Pokładły się na ziemi i tak się urodziła legenda o ujarzmieniu. To było pierwszy raz. Teraz już jest inaczej. Teraz wyciągnąłem z tego wnioski. Powstała teoria.

Grek II

Walczy pan z bogami.

Orfeusz

Walczę z lękiem, proszę pana. Zwyciężyć lęk, a przez to zwyciężyć śmierć, jako proces psychiczny w człowieku.

Grek II

Zwyciężyć śmierć.

Orfeusz

To brzmi bezbożnie, prawda? Bogowie powiedzieli: życie to lęk. Lew będzie zjadać sarnę, a kot mysz i nie jest to bynajmniej ani dobre ani złe. To jest prawo dla wszystkiego co żyje. Ale w mojej piersi jest waga. Ta waga zważyła prawo świata i znalazła, że jest złe. I powiedziałem: nie będę mu ulegać. I zaśmiałem się nad własnym życiem i nad własną śmiercią. Gdym to uczynił, zwyciężyłem lęk, a przez to zwyciężyłem śmierć. I zdobyłem wolność, nieosiągalną dla zwierząt. Zwierzęta się nie śmieją.

Grek II

Z wyjątkiem centaurów.

Orfeusz

A tak. Tylko że centaury są równocześnie bogami. Uważam zresztą takie skojarzenie za pełne wdzięku i fantazji, co w mitologii naszej jest rzeczą dość częstą.

Grek II

Napijmy się tedy na cześć centaurów i na cześć rodzimej mitologii.

Orfeusz

Zdrowie centaurów.

(wchodzi Eurydyka)

O, Eurydyka. Czemu tak późno?

Grek I

(na stronie)

Witaj, najśliczniejsza. Czy pani o mnie myślała wczoraj?

Eurydyka

Całe pięć minut, ale pan tego nie potrafi ocenić.

Grek I

Madame, nie spotwałem dotąd kobiety, któraby miała taki wdzięk.

Eurydyka

Dosyć miło pan to powiedział. Prawie w każdym mężczyźnie jest coś zabawnego.

Orfeusz

Napijesz się kawy?

Eurydyka

Czy wy wiecie? Znowu mówią o menadach. Chłopi na targu opowiadali, że zaczynają natrafiać po górach na ślady ich legowisk.

Oberzysta

Skończył się spokój. Będą nocami podchodzić pod miasto i wyć. Aż skóra cierpnie na człowieku, jak sobie przypomni. A rano okazuje się, że ta i owa panna uciekła z domu. Albo mężatka od dzieci. Okropne — jeszcze mi kiedy żonę porwą.

Eurydyka

One chłopców nigdy nie wabią?

Orfeusz

Nie.

Eurydyka

Chwała Bogu.

Orfeusz

Niezupełnie, ptaszku. Chłopcy sami za nimi idą.

Eurydyka

Ładna historia. Nie myją się, nie czeszą, jedzą palcami surowe mięso, wydrapują ludziom oczy i mogą się podobać mężczyznom.

Oberzysta

Może właśnie dlatego, proszę pani, że wydrapują oczy — he, he...

Orfeusz

Niech pan przy niej tego nie mówi. To złośnica.

Oberzysta

Przeproszę pana na chwileczkę.

(Orfeusz i Eurydyka zostają sami)

Orfeusz

One wcale się nie podobają, one tylko ciągną.

Eurydyka

Ciągną?

Orfeusz

No, jak na przykład — otchłań. Słyszałaś, że otchłań ciągnie.

Eurydyka

Kiedy tak, to nie jestem zazdrosna.

(z emfazą, naiwnie)

Jeśli mężczyzna ma do wyboru kobietę i otchłań — wybiera kobietę.

Orfeusz

Może i lepiej, że jestem tego pewna, mała kobietko.

(dotyka jej włosów)

Eurydyka

Przestraszyłeś mnie.

Orfeusz

Mała kobietko, co nie lękasz się rzeczy wielkich, a trwożysz małymi.

Eurydyka

Taka jestem śpiąca.

Orfeusz

Taka jesteś łagodna.

Eurydyka

Czasem flirtuję.

Orfeusz

Wiem.

Eurydyka

Ale cię lubię.

Orfeusz

To też wiem.

Grek II

(podchodzi)

Państwo darują, że się jeszcze przysiądę. To wszystko jest dla mnie bardzo interesujące. Ta teoria śmiechu.

Orfeusz

Myślałem nad tym, że śmiech to osobliwe zjawisko, proszę pana. Byłbym skłonny wierzyć, że przez śmiech powstał świat.

Grek II

Jak pan to rozumie?

Orfeusz

Śmiech zorganizował chaos, obłaskawił grozę. Skoro po raz pierwszy zabrzmiał nad otchłanią, otchłań została przezwyciężona. I urodził się ład, proporcje, stosunki...

Oberzysta

(podchodzi)

Panowie są oczytani w filozofach? Uwielbiam oczytanych ludzi.

Orfeusz

Stosunek. Święta nić, zszywająca dwa brzegi niewidzialnej materii, której zobaczyć nie dane będzie nigdy naszym ziemskim oczom. Poznajemy tylko stosunki. Sam Zeus jest właściwie stosunkiem, proporcją...

Eurydyka

Mówisz coś nieprzyzwoitego, bo nie rozumiem.

Orfeusz

Ależ, Eurydyko, wspaniała jesteś. Panowie będą się śmiać.

Grek II

Nie, skądże. La femme c'est la femme.

Orfeusz

—...chyba, że wyczują swoistą głębię i wdzięk takiego podejścia.

Grek II

On ma jednak trochę rubaszne maniery...

(odchodzi)

Orfeusz

Obraził się — ha, ha...

Eurydyka

Powiedziałam, zdaje się, coś głupiego...

Orfeusz

Nie trzeba się martwić, malutka. Napijemy się wina — sami, we dwoje. Wspaniała noc. Dawno nie czułem takiej radości. Zbierało się to we mnie, rosło, ale teraz dopiero wiem, że mogę przystąpić do najważniejszej sprawy, do czegoś ostatecznego. Szczęśliwy jestem, Eurydyko.

* * *

KAZIMIERZ PIETKIEWICZ

CO LUD DAŁ NASZEJ KULTURZE

Przenikanie pierwiastków sztuki ludowej do kultury narodowej a nawet ogólnoświatowej jest starsze niż wszelkie badania naukowe.

Oto już w wieku złotym a zwłaszcza na dworze króla Jana Sobieskiego zabawiano się pieśniami i tańcami chłopskimi. A nawet na dworach królewskich pracowały chłopki w tkactwie i hafciarstwie.

Nie pamiętamy już czasów, kiedy ludowy taniec Krakowiaków i Mazurów stał się nie tylko tańcem narodowym, ale zaprawiony receptą francuskich baletmistrzów reprezentacyjny taniec polski (mazur) panował na wszystkich wielkich dworach i salonach europejskich. Na scenę wkroczył swego czasu Bogusławski z „Krakowiakami i Góralami".

Ogólnie jest znana miłość romantyków do swojskiej ludowości, która stała się źródłem ich natchnienia.

W wieku XIX i na początku XX sztuka ludowa urasta do problemu.

Wspaniały geniusz Szopena podnosi pieśń ludu polskiego do wyżyn, które „ogarniają ludzkość całą". Fujarka ludowa i pieśń wiejska triumfuje w dziełach muzycznych mistrza.

Kiedy w tymże czasie t. zw. „wielka sztuka" zaczyna schodzić z piedestału monumentalnego malarstwa w życie codzienne zwykłego człowieka i zaczyna się przejawiać w przedmiotach nawet użytku codziennego (meblarstwo, ceramika, dekoracja wnętrz), przeżywa ciężkie próby zetknięcia się z rzeczywistością. Artysta bez znajomości tworzywa i techniki oraz właściwego przeznaczenia przedmiotów traci grunt pod nogami.

Wtedy to właśnie sztuka ludowa, rodzima, wyrosła z silnego związku tworzywa i techniki, zawierająca w sobie bogatą tradycję artystyczną całych pokoleń, staje się źródłem i drogowskazem dla naszej sztuki w ogóle.

Nie szuka się już sztuki ludowej w stylizowanych figurynkach z saskiej porcelany czy wstążeczkach i kapelusikach salonowych panienek, ale żywy, zdrowy, jędrny polski lud z całym swoim pięknem tradycyjnym zbliża się do polskiej inteligencji, a przez nią przenika do polskiej kultury.

Przyswajanie wartościowych pierwiastków sztuki ludowej odbywa się za pośrednictwem jednostek. Przez grono uczonych, poetów i artystów (Warchałowski, Tetmajer, Matlakowski) dziedziny architektury, poezji i sztuki plastycznej ludowej zostają przetłumaczone na język warstw t. zw. oświeconych. Zainteresowanie szerokiego ogółu, a zwłaszcza sfer mieszczańskich, jest jeszcze jednak powierzchowne. Wszelkie „pamiątkarstwo", „zakopiańszczyzna" i inna „ludowość" jest tylko modą nie wnikającą głębiej w artystyczne wartości ludu.

W Polsce wyzwolonej zagadnienie to zaczyna przybierać na sile. Odrębności sztuki ludowej nadają cechę odrębności kulturze polskiej i wzbogacają ją w każdej dziedznie. Z chwilą zainteresowania ogólnego w zakresie pojmowania i przyswajania wartości twórczych ludu dają się już zauważyć pewne koncepcje.

Jeden rodzaj to poczynania bądź zupełnie bezplanowe, bądź celowe, koniunkturalne.

Zaliczyć do tego należy ślepy i bezmyślny entuzjazm przeważnie „pseudoludowości" (podła spekulacja kramikowa, „kilimiarstwo", „pamiątkarstwo", strojenie się w stroje pseudoludowe, łapanie na tę egzotykę cudzoziemców i t. p.) i komedie polityków połączone z przebieraniem się w stroje „ludowe" dla pozyskania chłopa w celach politycznych. Ulegają temu oczywiście domorośli muzycy, poeci i publicyści.

W przeciwieństwie do pierwszej grupy, której działalność i wyniki dają się sprowadzić do jednego mianownika: szkodnicy kultury, drugą grupę nurtowały poważne i przemyślane prądy.

Zasadniczym celem drugich było: 1) rozszerzenie i wzbogacenie indywidualności etnicznej naszej kultury do przeciwstawienia obcym wpływom i bezwartościowej standaryzacji, która w rezultacie przecież niweczy piękne własne tradycje i zaciera oblicze kulturalne narodu; 2) stworzenie na podstawie tego dorobku tradycyjnego spójni spajającej różne warstwy społeczne; 3) wchłonięcie wszelkich wartości artystycznych ludu i wzbogacenie przez to naszej kultury w ogóle (Józef Czajkowski, Jastrzębowski, H. Schramiowna, K. Stryjeński, Jerzy Warchałowski i inni). Ci ostatni w oparciu o kanony Norwida w sztuce szli w określonym kierunku odrodzenia sztuki narodowej przez wchłonięcie najwartościowszych pierwiastków twórczych „dzielnego olbrzyma w siermiędze co jedną ręką szuka dla nas chleba, drugą zdrój świeżych myśli wydostaje z nieba".

Ten zdrój — całokształt życia chłopa z jego odrębnością, obyczajowością, muzyką, tańcem i plastyką, jak drzewo korzeniami wrośnięte w glebę rodzimą przyciąga przepiękną barwą kwiecia całe szeregi wszelkiego rodzaju artystów.

W rezultacie pracy tych ludzi zarysowują się dwie metody: ekspresjonistyczna i naturalistyczna.

Pierwsza polegająca na pewnej stylizacji starała się świadomie dostosowywać sztukę ludową do nowych form ogólnej kultury artystycznej. W ten sposób sztuka ludowa wyrywana ze swego właściwego podglebia często była wypaczaną choć często na skutek indywidualnych uzdolnień realizatorów osiągnięto wyniki wcale niezłe (Reduta, Szyller, Zawieyski).

Druga — dążyła do zachowania autentyczności sztuki ludowej, wobec czego często bliżej była prawdy. Jednak i tu zależało wszystko od realizatorów, którzy popadając często w przesadę, stwarzali wątpliwej wartości parodie.

Głęboka jednak znajomość kultury ludowej dała w naturalistycznym ujęciu zwłaszcza w plastyce scenicznej pozycje bardzo dobre. Dotyczy to „Wesela Kurpiowskiego" ks. Skierkowskiego, „Wesela Krakowskiego" Cierniaka, koncepcyj scenicznych T. Seweryna („Święto Gór") i Wincenzy („Na wysokiej połoninie"), które wybitnie wzbogaciły naszą kulturę i otworzyły nowe horyzonty dla teatru.

Błędy popełniane przy adaptacji sztuki ludowej do kultury naszej polegały na tym, że zewnętrzne imitacje utożsamiano z rzeczywistością polskiego chłopa, który jest zrośnięty z fizjografią kraju, z ustrojem gospodarczym i światopoglądowym. Sam chłop bowiem nie brał udziału, a tylko ludzie z innych środowisk przyswajali „powierzchowność", która była przenoszona „żywcem" w inny świat, gdzie najczęściej przedmiot czy obrząd zatracając właściwe swe przeznaczenie funkcjonalne zatracał swoją właściwą treść.

W ten sposób przedstawiała się sprawa w przeszłości.

Rzeczywistość dzisiejszą cechuje natomiast przede wszystkim realizm.

Chłop polski stał się współtwórcą i współgospodarzem dzisiejszej Rzeczypospolitej w każdej dziedzinie życia.

W świetle tych warunków na odcinku kultury z mgły anonimowości ludu wyłania się żywy człowiek, wiejski artysta, wnoszący sam swe wartości do ogólnego dorobku. Dlatego lud nie powinien być dziś traktowany jako bezwolny obiekt adaptacji i przekształceń kultury intelektualistów czy w ogóle kultury miasta. Jego bogactwo kulturalne nie może dziś być traktowane tylko jako źródło, w którym warstwy wykształcone szukają pożywki.

Zadanie czynnika t. zw. ukształconego powinno polegać na pomocy i udostępnieniu równego startu w tworzeniu tym wszystkim jednostkom z ludu, które wyróżniając się z pomiędzy zwykłych rękodzielników prowadzą nas w krainę sztuki. Zarówno czy to będzie poeta czy snycerz, tkaczka, hafciarka czy cieśla. Nie traktowanie z góry, po ojcowsku, ale braterska rada, pomoc i uświadomienie powinno iść w lud.

Pokarm kulturalny dawany mu musi być wysokogatunkowy, nie zabijający i wyjaławiający jego bogatą tradycyjną indywidualność, lecz wzbogacający widnokrąg kulturalny i dający możliwość we współtworzeniu nowych wartości. Wszelka sztuczna adaptacja i przekształcanie sztuki ludowej nie powinno w dzisiejszych warunkach mieć miejsca.

WANDA ŻYNGIEL

Leonardo da Vinci

Leonardo da Vinci urodził się w 1452 roku w małym miasteczku Vinci (stąd też pochodzi jego nazwisko), w dolinie Arna. Już od najmłodszych lat zdumiewał otoczenie wszechstronnością zainteresowań, bystrością umysłu, urodą i wdziękiem obejścia. Miał niesłychanie delikatne dotknięcie pędzla czy strun lutni, choć wielka siła pozwalała mu łamać podkowy w ręku. Dziś mamy tylko jeden, niestety, jego autoportret i to z okresu starości, który daje tylko słabe o nim wyobrażenie.

Mając osiemnaście lat Leonardo został uczniem Andrzeja del Verrocchio i w pracowni jego zetknął się z Botticellim i Peruginem. Legenda głosi, że gdy Verrocchio zobaczył anioła namalowanego przez Leonarda, urzeczony siłą jego talentu, porzucił na zawsze paletę. Już jako dwudziestoletni młodzieniec został wpisany Leonardo do Towarzystwa Malarzy Florenckich.

Życie jego to nieustanne przenoszenie się z miejsca na miejsce. Poznały go wszystkie większe dwory książęce we Włoszech: Florencja, Mediolan (ten ostatni przetrzymał go aż przez 17 lat), Mantua, Wenecja, Umbria. Podobno nawet był na służbie sułtana w Egipcie jako inżynier wojenny. W swych wędrówkach pełnił przeróżne funkcje: malarza, rzeźbiarza, architekta - inżyniera, muzyka, dekoratora, alchemika, doradcy prawnego i strategika. Jego uniwersalny umysł żądny nowych wrażeń przerzucał się z jednej dziedziny w drugą.

Namówił go wreszcie król francuski Franciszek I i na ostatnie lata życia przenosi się Leonardo do Francji. Tam też umiera w rezydencji Cloux w 1519 roku, mając 67 lat.

* * *

Dwór szalał. Wszystko kapało od złota. Girlandy kwiatów zwisały z sufitu. Wszędzie strojni goście. Sam książę Ludovico Sforza promieniał — zdobył się na to, co tylko mógł dać rozmiłowany w urodzie życia renesans włoski. A urządzał wszystko z głębokim znawstwem i smakiem sam mistrz Leonardo. Tyle się o nim mówiło i to nie tylko między damami oczarowanymi jego urodą i nieprzepartym urokiem obejścia, ale i mężczyźni, od najbardziej powierzchownych lekkoduchów, aż do ludzi statecznych, zrównoważonych, mieli sporo do powiedzenia o tym przybyszu z Vinci; każdy chciał go zobaczyć i przekonać się, czy rzeczywiście jest tak wszechstronny i tak niezwykły.

Nie posiadał majątku, nie przepracowywał się, robił to tylko, co mu się podobało, a nie było siły ludzkiej, któraby go zmusiła do wykonania czegoś, co go nie interesowało. Nigdy nie był niewolnikiem zdobywania grosza. A jednak niczego mu nie brakło: liczna służba, konie, powozy. Zawsze znaleźli się tacy, którzy o to dbali, by miał wszystko, czego pragnął.

Stał właśnie pod kolumną piękny i strojny, ale strojnością skromną, a godną. Wyrazistą, ciekawą twarz okalał miękki, jedwabisty włos. Stał chwilę spokojnie, samotny, głęboko zamyślony. Nagle wyjął notatnik i szybko coś zapisał. Czy może jakie spostrzeżenie natury psychologicznej, bo i tym się pasjonował? Lubił bowiem zwoływać chłopów, aby obserwować zmiany ich fizjonomii. Patrzał też nieraz w twarz skazańcom i zbrodniarzom. Może teraz zafrapował go ten strojny rozbawiony tłum, a może w tej głowie, zawsze pełnej nowych rzeczy, zrodziła się jakaś ciekawa myśl czy odkrycie? Może tworzył jedną z tych 5.000 stron, które przechowały się do naszych czasów.

— Widzę, że nie próżnujecie, Mistrzu, nawet na zabawie — zaczepiła Leonarda piękna a kapryśna, młoda żona księcia, Beatrycze d'Este — czyż wasz geniusz nigdy nie odpoczywa?

Skłonił się z uśmiechem.

— Genialny człowiek wówczas najwięcej robi, gdy jego ręce próżnują.

— Dobra to zasada dla próżniaków, ale wam to, mistrzu, nie grozi, wiecznie coś nowego tworzycie. Na wasz autorytet niedługo będą się powoływać we wszystkich dziedzinach.

Ubawiło go to wyraźnie, więc raz jeszcze skłonił się dworsko, mówiąc: — jeszcze skłonił się dworsko, mówiąc: kto powołuje się na autorytety — rządzi się pamięcią, a nie rozumem.

Ale trzeba było przerwać rozmowę, bo Leonardo musiał się przygotować do występu na lutni, gdyż książę szczególnie lubił jego grę na instrumencie przez samego mistrza skonstruowanym, o tonach bogatych i tak słodkich, że w całej Italii nikt mu nie mógł dorównać.

Tymczasem w innym końcu sali toczyła się ożywiona rozmowa na temat Leonardo.

— Czy to prawda — pytała młoda i urocza Cecila Galerani — że mistrz Leonardo ma kontakt z czarodziejami? Podobno ze swym sługą był na sabacie czarownic. W drodze powrotnej sługa ów spadł z miotły i nogę tak złamał, że do dziś dnia dźwignąć się nie może.

— Ktoby dziś wierzył w średniowieczne zabobony, gusła i czary. Sługa złamał nogę na maszynie latającej którą mistrz Leonardo po długich próbach skonstruował, chcąc ziścić sen Ikarowy o lotach podniebnych — broniła go inna.

— Ale gorszy mu zarzut czynią, że po nocach na cmentarzyskach trupy wykopuje i kraje je w tajemnicy wielkiej, przez zdrożną ciekawość.

— Gdzieżby to zrobił taki pobożny człek, co na murze refektarza Santa Maria delle Grazie wymalował Wieczerzę Pańską, na którą można patrzeć godzinami. Wszystko tam mówi, nie tylko twarze apostołów wstrząśnięte słowami Chrystusa: „Jeden z was zdradzi mnie" — ale gest każdego z nich. Bez żartów, ręce na obrazach mistrza Leonardo mają swoją wymowę, jak u nikogo więcej. Mówiono mi, że przed namalowaniem oblicza Chrystusa spędził szereg godzin w niemej kontemplacji, której nawet zakonnicy nie zdolni byli zrozumieć, tyle

WYNIK LOSOWANIA DZIEŁ SZTUKI

DLA PRENUMERATORÓW »ZDROJU«

Dnia 10 kwietnia 1946 r. zebrała się w lokalu Redakcji i Administracji „Zdroju" Komisja powołana przez Wydawnictwo „Zdrój" dla rozlosowania dzieł sztuki przeznaczonych dla tych prenumeratorów, którzy wpłacili kwartalną prenumeratę do dnia 1 kwietnia. Skład Komisji był następujący:

Halina Korabiusowa, Adela Suprynowa, Franciszek Twardoń oraz Józef Nikodem Kłosowski.

W wyniku losowania dzieła sztuki zdobyli następujący prenumeratorzy „Zdroju":

1) Stanisław Mierzejewski, Lublin, Społem, ul. Spółdzielcza 3
„Drzeworyt" Marii Berezowskiej.

2) Władysław Staśkiewicz, Chmielnik Kielecki
„Młyn" Zenona Kononowicza.

3) M. Kowalska, Lwówek, Ośrodek Zdrowia
„Kościół OO. Bernardynów" Władysława Filipiaka.

4) Henryk Wójtowicz, Warszawa, Al. Zjednoczenia 98/16
„Monotypia" Zenona Kononowicza.

5) P. Modrzewski, Lublin, Szopena 4/3
„Kwiaty" Piotra Żyngla.

6) Celina Dowgierd, Wałbrzych, ul. Roli-Żymierskiego 70
„Kosiarze" Wandy Arlitewicz-Młodożeńcowej.

w niej było oderwania się od spraw ziemskich, a gdy mu przeor coś o marnowaniu czasu napomknął, zagroził mu, że zrobi z niego Judasza.

— Mistrza nikt do niczego zmusić nie potrafi. Robi on bowiem co chce i jak chce — entuzjazmowała się inna. Ciekawam, czy i czarowi kobiety nigdy nie uległ, bo choć jest tylko nielegalnym synem notariusza z Vinci, to jednak i księżniczka krwi nie wzgardziłaby nim chyba.

— Nie znacie Leonarda, można mu mózg zapalić, ale nie serce. Zimny jest przy całej swojej pozornej miękkości.

— Czyż w swoich wędrówkach po świecie nie spotkał tej, któraby w nim obudziła tęsknotę za tą jedną jedyną twarzą, którą zwykły śmiertelnik pragnie zawsze mieć przy sobie? Czy to, że podbija swym urokiem otoczenie, nie pozwala mu odczuć samotności?

Nie wiedziały ciekawe damy, że wkrótce będzie aż przez cztery lata malował swoją słynną Giocondę. A na każdym seansie zgromadził koło niej tyle piękna, by nie odczuwała ani przez chwilę znużenia, by na jej twarzy pod wpływem śpiewu i muzyki igrał wciąż ten uśmiech zagadkowy, co przez wieki miał zachwycać. Może to mistrz Leonardo zaklął w nim swą tęsknotę za miłością. W nim pokazał, że piękno nie płynie z rozumu, ale z serca.

Nowy gość przysłuchiwał się chwilę rozmowie i zagadnął z uśmiechem. Któż jest ten, o kim słyszę tak wiele i to tak sprzecznych zdań?

— Chyba z bardzo daleka przybyliście, Panie, skoro nie słyszeliście o najsłynniejszym inżynierze, czarodzieju, który podobno ma wspaniałe plany strategiczne, projekty nowych fos i kanałów. Nawet nowe kule stożkowate, proce i maszyny oblężnicze skonstruował.

— Jakże można traktować tego artystę jako inżyniera, skoro cały traktat napisał o malarstwie, o wszelkich technikach oraz tajemnicach farb?

— On też dla naszego księcia tworzy wspaniały pomnik Francesca Sforzy, ogromnych rozmiarów.

— Ja zaś uważam go przede wszystkim za filozofa i psychologa — wtrąciła inna.

— Jakiś poeta powołał się na bajki Leonarda i zaliczał go w poczet poetów — dorzucił ktoś jeszcze.

Spór rozgorzał na dobre. Zastanawiano się, kim jest naprawdę Leonardo: malarzem, rzeźbiarzem, poetą czy inżynierem, lekarzem czy filozofem, matematykiem, chemikiem czy znawcą starożytności, muzykiem czy też wirtuozem? Leonardo był tak wszechstronny, że nie tylko współcześni ale i my dziś z perspektywy wieków, która ułatwia syntetyczne ujęcie, nie potrafimy odpowiedzieć, kim był Leonardo da Vinci, to jedyne zjawisko na firmamencie ludzkości.

Im bardziej mu się przyglądamy, tym bardziej staje się wielki. Interesuje go cały świat. Niepodobna znaleźć dziedziny, w której by nie dokonał szeregu odkryć. Tylko, że umysł jego chciwy nowych zdobyczy przechodził wciąż do innej dziedziny pozostawiając poprzednią. Popełniał błąd nadmiernego uniwersalizmu. Gdyby skoncentrował swój geniusz na jednej gałęzi, gdyby umiał czy chciał nałożyć pęta swej wiecznej żądzy poznania i wyciągnąć konsekwencje ze swej olbrzymiej wiedzy, kto wie, czy nie nadałby zupełnie nowego oblicza tej dziedzinie, którejby zechciał się całkowicie oddać.

* * *

Niewątpliwie Leonardo da Vinci należy dziś przede wszystkim do malarstwa i jako malarz jest najbardziej znany i ceniony. Najsłynniejsze jego dzieła z tego zakresu to, „Wieczerza Pańska", „Monna Lisa" zwana Giocondą, „Wniebowzięcie", „Przenajświętsza Dziewica wśród skał". Leonardo jak nikt inny zaważył w epoce Odrodzenia na sztuce włoskiej. Stworzył całą szkołę w Mediolanie. Wpływy jego dadzą się zauważyć u tej miary artystów, co Giorgione i Corregio. Obrazy jego to nie tylko piękno gra subtelnych i delikatnych kolorów, zdecydowana kompozycja i mocny rysunek, ale poza walorami czysto malarskimi kryje się w nich głęboka treść psychologiczna. W nich potwierdza się to, co mówił sam Mistrz o sztuce, że nie jest tylko pięknem, ale wyrazem wzruszeń.

ROMAN BRATNY

TRUMNA

Zmierzchało już, gdy trzask zamykanych na dole drzwi — to kapral wychodził — uświadomił mu nieodwołalność tego co się stało.

Zmierzchało. Widział to po występującym coraz jaskrawiej czerwonym odblasku na ścianach. Najgęstszy, najciemniejszy wprost odblask promieni leżał na czarnej politurze bibliotecznej szafy.

W skupieniu patrzył na tomy ciemniejące za krwawym okiem ściętego brzegu szyby, uważnie jakby chciał znaleźć coś w tym papierowym próchnie — jak pomyślał w chwili ocknienia.

Zmierzch był już chyba, bo jaśniej było w pokoju.

...Więc — Pewny nie żył.

Łańcuch pożarów raził teraz w ciemności jaskrawym czerwonym światłem. Rafał, mimo to, idąc potrącił krzesło. Syknął. Zatrzymał się.

Olbrzymią panoramą huczały wokół płomienie.

Huczały — wiedział to, mimo, że cisza panowała w opuszczonym już domu i tylko daleki szum niby płomień czy potok niósł z ulicy i podwórza.

Potarł stłuczone kolano. Syknął. Uśmiechnął się... Z radością nacisnął stłuczone miejsce — do bólu.

...To — Pewnego rozharatało paskudnie, jak mówił kapral. Nie miał ręki.

Dobrze było czuć swoje ciało — nawet w bólu.

Uderzył stłuczone miejsce.

W korytarzu było gorzej — omackiem doszedł do wieszaka; nie mógł znaleźć furażerki.

Z ulgą wszedł znów, trzymając już furażerkę w wyciągniętej ślepczo dłoni, do jasnego pokoju, gdzie na czarnej pokrywie fortepianu leżało bajoro ognia rozlanego zresztą po całym pokoju, z ogniskiem płomieni uwiązanych na bibliotecznej szafie.

Obszedł wywrócone przez siebie krzesło. Stanął. Znów czekał.

Podszedł do okna.

Fale płomieni uderzały niebo — szeroko. Bliżej... bliżej, już drżał dom od trzasku i huku, który wyczuwał raczej niż słyszał, patrząc na wiązki, na całe kupy płomieni walące przez okna przeciwległego domu.

Znowu czekał.

Głowa z niewyspania ciężyła mu. Oparł na zimnej szybie czoło. Dziwną rozkosz sprawił mu ten chłód — patrzył.

Miał uczucie, jakby to płomienie dawały chłód.

„...Marzną, już wieczór" — snuło mu się coś po głowie. Drgnął.

Spojrzał na ulicę. Drgnął. Odszedł. Ulicą biegły sanitariuszki niosąc nosze.

...Pewny — zabity.

Na kogo tu czekam?...

Wdział furażerkę.

...Pewny — piękny, mądry. Człowiek, wielka przyjaźń Rafała; wierny, nieustępliwie służący sprawie chłopak.

On to leży tam pod barykadą z odwaloną ręką.

Nawet go ściągnąć do bramy nie mogli. Nie mogli — skoro już kapral tak mówi. Tak.

Wyszedł, zostawiając drzwi otwarte...

Na schodach pomyślał, że tak minęło jego ostatnie spotkanie z Pewnym.

Kłęby dymu niosły się górą nad płonącą ulicą.

Przypomniał sobie swoją radość sprzed godziny na widok ocalałego domu. że jest miejsce, w którym umówił się z Pewnym. Że nie przepadło, jak o to się bał biegnąc zrujnowanymi ulicami.

Jak nadsłuchiwał biegnąc po schodach, czy na najwyższym piętrze stoi już tamten.

Teraz szedł tą samą ulicą, a przed bramą jego domu, który spłonie tej nocy, leżały — śmieszne — klucze od jego domu, w którym minęła jego młodość.

Droga do kwatery leżącej na spokojniejszej ulicy — ten kwadrans ciszy wewnętrznej i skupienia dał Rafałowi wrażenie odpoczynku.

Marsz po ciemnych tu, dalej od źródła pożaru, ulicach — uważnie prowadzenie siebie przez rowy, przełazy, ostrzejszy kłus serca na huk wybuchających pocisków granatników, wszystko to wypełniało go ciasno sobą; nie myślał, że idzie ku swoim ludziom, z którymi jutro pójdzie pogrześć ciało Pewnego.

Sprawdził latarką numer domu. Schody... Czuł zmęczenie. Wszyscy już spali. Nie paląc świecy, zwalił się na tapczan.

Szczęśliwie obudził się na czas — musiał pamiętać, że od południa obejmował placówkę.

...Pewnego musiał pogrześć rano.

Kapral uniósł brwi. „Trudno tam".

Ale to on właśnie, gdy Rafał chciał już ruszać, dodał — „przecież mu trumnę trzeba zanieść".

O wyniesieniu zwłok przez kręte przejścia piwniczne nie było mowy. Zresztą — gdzie? Na inne podwórko? Skwer? Pod innych chodnik?

Szli teraz obaj, wziąwszy jeszcze 2 ludzi, szli we czterech. Kapral prowadzi.

Groźna nuda porozwalanych domów, podwórek pokrytych ceglanym pyłem i sadzą — to było przeważnie przez czystość, radość jesiennego chłodnego świtania.

Gdy wyszli na chwilę na długą, dającą jasną perspektywę ulicę, wychodzącą aż na podmiejskie ogrody — kwitnące czerwono słońce zachłysnęło ich oczy.

Niespodzianie porwał ich rytmiczny stuk butów marszu.

Rafał aż się obejrzał — nikt nie szedł — to oni porwali się do marszu na tym jasnym odcinku.

Uśmiechnął się.

Właściwie tak powinni iść na pogrzeb Pewnego.

Ulica była prawie pusta.

Nocny ruch do punktów przejścia przez niebezpieczne, martwe w dzień odcinki już zgasł.

Spłoszyli jakiegoś wróbla ucztującego na wyschłych resztkach końskiego gnoju — usiadł na framudze parterowego okna.

„Jakby sił nie miał" — zaśmiał się kapral — „a przecież te pola — to jego" — pokazał na łunę słońca.

Wchodzili w jakieś podwórko.

Tutaj! — to kapral już dobijał się do drzwi niskiego domku stojącego w rogu podwórka.

Rafał podszedł do okna. Przysłonił dłonią. Nic nie mógł odróżnić w mroku.

Zaświecił latarką.

W snop światła runęły bezgłośnie trumny.

Cofnął się. Wrócił. Zaświecił.

Z brzegu równym szeregiem w głębi pokłębione, zwalone na kupę trumny.

Ktoś już otwierał drzwi.

Tęgi starszy mężczyzna rozmawia z kapralem. Rafał słyszy, jak tamten zaprasza do środka. Wchodzą we dwóch. Grubas prowadzi przez jakiś korytarz, w którym walają się jakieś bety, czyjaś rozczochrana głowa wyłazi spod przykrycia. Mijają to.

Grubas otwiera drzwi. Wchodzą.

Rafała zalewają, skaczą nań rozhybotane fale trumien. Zasłania się ręką.

Chwyta najbliższą. „Ta za duża" — to mówi kapral.

...Ach, idą grzebać Pewnego.

Przechodzi już spokojnie w głąb pokoju. Grubas pokazuje coś kapralowi.

Głos jego huczy odbijany echem pustych pudeł. Czkawka trumien. Grubas cieszy się: tak ta najlepsza. I w przejściu po piwnicach się zmieści. Dobrze, że to się nie zmarnuje, tyle dobra z dymem idzie. Sam zacząłem — panie, warsztacik malutki — dorobił się człowiek przez lata. A tu ten czas wypadł. Bierzcie tą... bierzecie".

Już niosą z kapralem. Rafał cofa się tyłem, w oczach ma sterty trumien — ciężka — źle chwycona.

Z ulgą stawia ją przed progiem domku. Żegnają grubasa. Dziękują mu. Gruby śmieje się: „A Bóg z wami, chłopaki. Bóg..."

Dzień już był. Szli prędko ulicami. Dwóch niosło dno, dwóch wieko. Mijali ludzi, całe szeregi objuczonych ludzi.

Płonęła sąsiednia dzielnica. Znowu. Już wchodzili na teren zagrożony. Zaczynało się zmęczenie. Niskie, zatłoczone przejścia przez piwnice. Zdenerwowani, gorączkujący się ludzie.

Ten ciężar nieporęczny. To męczyło i zabierało czas, musieli się spieszyć. W wąskich przejściach z trudem manewrowali tym nieporęcznym ciężarem. Z ulgą też zbliżali się do terenu wypalonego, w którym już nie spotykało się ludzi.

Szli prędzej. Zbliżali się.

Teraz drogę zamknął im zawał ruin w którymś przejściu piwnicznym — to saperzy zasypywali przejście do płonących domów.

Położyli trumnę.

Rafał wyszedł na górę. Było pięknie. Słońce leżało na murach opuszczonego domu. Gdzieś w głębi huczał pożar. Rafał podszedł do bramy. Paliły się dwa pozostałe domy na przeciwległej ulicy. Dziwnie blado wyglądały w pełnym słońcu płomienie. Na rogu tej ulicy była barykada i pod nią leżał Pewny. Rafał myślał chwilę.

Dojście było trudne. Cofnął się.

Spojrzał... ale już całą uwagę zagarnął daleki głos — l e c ą!

Zły, że nalot zamknie ich tu w piwnicy, zabierze drogi czas — doskoczył do zejścia i zawołał.

Zaczęli się taszczyć, łomocząc trumną o schodki.

Rafał obliczał, czy zdąży skoczyć przez ulicę: wzdłuż tamtych płonących domów przejście było wolne od obstrzału.

Motory huczały już wyraźnie. Tamci wyszli. Złożyli trumnę. Przeciągali się.

Słońce.

„Póki jeszcze nie słyszą..." — myślał Rafał — krzycząc: „No, prędzej! Nie ma czasu... Skaczemy na drugą stronę!"

Sam podjął ciężkie wieko trumny.

Kapral zaczął mówić, że tędy lepiej nie próbować, ledwo go stłumił surowym: „widziałem", gdy z boku wylazł krzyk jednego z tamtych: „lecą! lecą!" — wołał z głową zadartą do góry.

Prędzej- — Rafał skoczył, wlokąc wieko trumny ku bramie.

Przyjął go jasny i wyzwalający szum pożaru naprzeciw. Obejrzał się. Niezdecydowani, ale stali już za nim — dno trumny leżało między nimi. Trzej.

Płomień przygasł i uciekł w głąb od wichru, gdy rąbnęły pierwsze bomby.

Obejrzał się — skuleni przy ścianach, dno trumny leżało między nimi.

...„Za mną!" — ryczał — teraz przejdziemy — tamci nie uważają!"

Skoczył, wlokąc ciężar trumny za sobą. Słyszał — jak dudni za nim o kamienie.

Ściga! — bez tchu wpadł do bramy płonącego domu.

Ryk walącej się serii bomb zepchnął go, teraz już padał, walił się na jakieś deski.

Szum trwał niezmieniony. Żar.

Wstał. Ruszył się, macając ręką jak ślepy.

Słońce było i pożar ten sam, ale za jakąś mgłą.

Klęknął.

Spostrzegł, że klęczy na deskach rozbitego trumiennego wieka.

Gdzie dno?!

O, tamci!!!

Biegł kulejąc ku...

Naprzeciw leżała góra gruzów w obłoku kurzu i swądu.

Tamci...

Aa!!!

Klęknął osłabiony.

Ze łzami gładził czule deski z surowej sosny.

BRONISŁAW MAJTCZAK

WIOSNA

Na ziemi rojno dziś od pługów
i gwarno parskań śpiewem.
Zorany świeżo dymi ugór,
a wiatr podzwania siewem.

Wieśniacy koszul białym kwiatem
w zoranych polach kwitną,
radość się gapi ponad chatą
dymu wstęgą błękitną.

Dzień głębiej stopy wciska bose
w pachnący dywan gleby...
Jak słodko dziś zapachem sosen
przegryzać pajdę chleba!

Dziś można lęk za siebie ciskać
i myśl o ludzkiej nędzy,
ziemia jest niebu taka bliska,
złączona szarfą miedzy...

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

»NADZIEJA«

Jakieś dziesięć miesięcy temu, w okresie pierwocin życia artystycznego wyzwolonej Polski, toczyła się w lubelskim Klubie Literackim dość ożywiona dyskusja na temat aktualności „Drogi do źródeł“ Perkitnego, którą właśnie wystawił Teatr Miejski. Wydawało się wówczas rzeczą jasną, że dusza widza powojennego, odrętwiała po katowni hitlerowskiej, nie może być wrażliwa na krzywdę kulisów murzyńskich, wyzyskiwanych przez plantatora w dalekiej Afryce.

I tak też było w istocie.

Lecz czerwiec ubiegłego roku to dawne czasy. Moment obecny różni się od nich psychologicznie przynajmniej o tyle, o ile się różni od okresu międzywojennego. Dziś, gdyby przeciętny widz nie reagował emocjonalnie na żywy obraz cierpienia indywidualnego, bez względu na szerokość geograficzną, oznaczałoby to, że tłumy nauczyły się myśleć kategoriami statystyków i dyktatorów. Na szczęście jednak do tak strasznego zwyrodnienia, grożącego nam klęską człowieczeństwa i zagładą sztuki, zapewne nie doszło, skoro ostatnio można było widzieć, jak kobiety płakały nad niedolą jednej niewidomej w „Świerszczu za kominem“, jak publiczność kina, dokąd uczęszczają szerokie masy, przejmowała się tragedią opuszczonego dziecka w „Grzesznikach bez winy“ Ostrowskiego.

A zatem prawdziwe, nieprzemijające wartości artystyczne zachowują nadal moc wyzwalania odwiecznego humanitaryzmu duszy ludzkiej spod osadów i złomów dziejowych. Wynikałoby stąd konsekwentnie, że w spektaklu, który pozostawia widownię obojętną, słaby jest albo czynnik twórczy, albo odtwórczy, bądź też obydwa razem wzięte nie mają siły życiodajnej.

Elementarną tę prawdę, gubioną nieraz w dzisiejszych debatach nad aktualnością różnych sztuk, potwierdza znakomicie sprzeczność wrażeń wyniesionych przez tego samego widza z dwóch przedstawień „Nadziei“ Heijermannsa, która wydawała się na premierze w Teatrze Miejskim przestarzałą, a po paru dniach stała się źródłem głębokich doznań artystycznych. Przyczyna tej rozbieżności tkwiła w tajemnicy przeistoczenia się tworzywa teatralnego w niekłamane życie sceniczne.

Herman Heijermanns ,którego najlepsze utwory powstały na początku bieżącego stulecia, był najwybitniejszym przedstawicielem naturalizmu w Holandii. Powieść jego z życia żydowskiego „Miasto diamentów“, przełożona na kilka języków, zyskała uznanie krytyki zagranicznej. Największą jednak pozycją literacką Heijermannsa są bezsprzecznie jego sztuki, zwłaszcza „Nadzieja“, napisana w r. 1901.

Rewelacją było dla narodów współżyjących z Holendrami na kontynencie europejskim, że kraj tulipanów i domków o schludnych ścianach kaflowych może ukrywać w swych malowniczych wioskach nadbrzeżnych otchłań nędzy. Okazało się, że aby wyciągnąć z morza ryby, za które dzieci przykładnych rodzin dziękują Bogu, siedząc przy stole ze złożonymi do modlitwy rączkami, tysiące rybaków oddają życie za marne grosze, podczas gdy ich matki, żony i córki chodzą po żebrach, ustawicznie opłakując kogoś ukochanego.

Bogata galeria typów przesuwa się przed widzem. Nie są to postacie papierowe, lecz ludzie z krwi i kości, pyszne role dla tęgich aktorów. Starsze pokolenie złączone jest amalgamatem filozofii życiowej wysnutej z rezygnacji, która znajduje najlepszy wyraz w chrześcijańskiej pokorze matki rybaków Kniertje i humanitarnej postawie jej brata Kobusa. Byt swój ugruntowała Kniertje na „dobrodziejstwach“ pana Bosa, a otuchę do życia czerpie w przekonaniu, że statek jest w ręku wielkiego i dobrego Boga. Bo kobieta marynarza nie może być słaba, modlitwa to najlepsza pociecha. Doskonale uwydatniła Irena Ładosiówna tę niewzruszoną potęgę wiary ludowej!



„NADZIEJA“, AKT TRZECI

Spokój Kobusa wobec bliskiej śmierci oparty jest na zrozumieniu niezłomnego ustroju świata, w którym „my zabieramy ryby, a Pan Bóg zabiera nas“. Rozważania o cierpieniu zarzynanych ryb należą do najpiękniejszych miejsc w sztuce. Postać Kobusa stworzona przez Kondrata tchnie franciszkańską pogodą, zaprawioną lekką, dobroduszną ironią.

Dużo charakteru miał — jak zawsze — Chmielarczyk w roli zgrzybiałego Daantje, utyskującego na twarde rządy „mateczki“ przytuliska.

Na pierwszy plan dramatu wybija się Geert, przedstawiciel „innych ludzi“, co się przemienili nie tylko przez „te gazyty i książki, czytane potajemnie przy marynie“, lecz napatrzywszy się od maleńkości na szypra siedzącego, w najcięższych dla nich chwilach, „przy grogu, przy piecu i przy kasie z pieniądzamy“. Wielka moc bije od stworzonej przez Pichelskiego postaci pomrukliwego, „honornego“ chłopca, którego może ugłaskać kwiatek przypięty mu do czapki. Akcenty buntu przeciw marynie królewskiej, pakującej do ciemnej celi człowieka, co w najuroczystszych chwilach życia przysięga na morze, skazującej marynarza na pół roku więzienia za obronę czci swej dziewczyny, — ten protest społeczny miał dużo wyrazu dzięki powierzeniu roli artyście z temperamentem dramatycznym.

Chmielewski gra z dogłębnym zrozumieniem drugiego mocnego człowieka, szypra Bosa, nie robiąc z niego czarnego charakteru, i słusznie, gdyż Bos wyrósł z tego samego środowiska, a różni się od niego właściwie tylko tym, że los pozwala mu wykorzystywać nienormalną koniunkturę ekonomiczną.

Kontrastową rolę Barenda wykonał uczeń Szkoły Dramatycznej J. Rusek, z wiernym wyczuciem urazu psychicznego, jaki charakteryzuje młodego chłopca, w którym morze wzbudza nieprzezwyciężony lęk.

Irena Malkiewicz nie ma w sobie potencjonalnej prostoty wiejskiej, niezbędnej dla stworzenia udatnej postaci narzeczonej Geerta Jo. Zato w ostatnim akcie ujawnia możliwości dotąd zupełnie nie wyzyskane, a predestynujące ją do ról znacznie głębszych, niż grane przez nią zazwyczaj femmes d'intérieur — słodkie, cnotliwe żony i matki. Dublująca ją Halina Buyno wniosła do postaci Jo dużo ciepłego liryzmu, nie zdobyła się jednak na tyle ekspresji dramatycznej w końcowej scenie, choć w całości jest bardziej przekonywująca jako rybaczka i, posiadając obszerniejszą skalę mimiczną, lepiej reaguje na wszystko, co się wokół niej dzieje.

Postać Marietje ujęta jest nieco powierzchownie przez Jaraczównę, która zdała się ze zbyt lekkim sercem na dobrą technikę aktorską, tającą w sobie, jak wiadomo, niebezpieczeństwo szablonu. Od tej zdolnej artystki mamy prawo wymagać więcej. Truśka, matka sześciorga dzieci, dokładnie przemyślana przez E. Ossowską, zagrana z ujmującą prostotą i szczerością, występuje jednak w nieco fałszywym świetle na skutek dokonanych skrótów, pozbawiających uzasadnienia spokój, z jakim się zachowuje bezpośrednio po śmierci męża. Skrzydłowska jest zbyt „urbanistyczna“ jak na wesołą wdówkę rybacką (Saartową), J. Śliwa jako Mees pozostaje sobą; najmniej obchodzącą autora rolę córki szypra Klementyny, co nabrała ogłady miejskiej, zagrała poprawnie Górecka, dobrą maskę miał żebrak Jelle (Łoza), natomiast nie utrwala się w pamięci widza postać cieśli okrętowego Szymona, gdyż E. Kowalczyk nie zgłębił cech charakterystycznych roli i momentów dramatycznych akcji. Wręcz przeciwnie bardzo interesujący jest w wykonaniu Klejera zahukany buchalter Kaps, w którym strach przed utratą posady nie zagłuszył całkowicie zmysłu krytycznego. Wydaje mi się jednak, że uwypuklenie tej komicznej postaci osłabia efekt tragicznego zakończenia sztuki.

Budowa „Nadziei“ Heijermannsa ma pewne wady. Napięcie dramatyczne słabnie właściwie już po drugim akcie. Akt III (burza) nabrałyby niewątpliwie wyrazu, gdyby się rozgrywał w łonie jednej rodziny. Mocny jego finał, wstrząsający dwugłos modlitwy i zwątpienia, zawdzięczamy retuszowi reżyserskiemu Karola Borowskiego. Skróty poczynione przez reżyserię należy uważać za korzystne, z wyjątkiem oczywiście tych, które wyszły na szkodę charakterystykom postaci (Gertruda). Kompozycja poszczególnych scen dość udatnie grupowała osoby wokół trzech naturalnych ośrodków bycia domowego, jakimi są kominek, stół jadalny i okno. Tempo, za powolne na premierze, usprawniło się na następnych przedstawieniach, czy też pauzy a la Stanisławski wypełniły się ważką treścią.

Jędrna gwara przekładu Jana Kasprowicza, odkąd ją artyści opanowali, potęguje wrażenie tężyzny środowiska rybackiego.,

Dekoracje Z. Węgierkowej w tym co sięga ponad sumienną pracę idą po linii najmniejszego oporu, jak gdyby wskutek nieprzezwyciężonej depresji duchowej przeżywanej przez utalentowaną artystkę.

Pozostaje wypowiedzieć życzenie, by „Nadzieja“ stała się momentem przełomowym w dotychczasowej polityce repertuarowej Teatru Miejskiego.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

RYWAL NIEWZRUSZONY

Ktoś (już nie wiem kto) dziś rano przeczytał,
(na chwilę zobaczyłam świeże łany żyta,
rozświetlone przez naszej, biednej duszy małość)
że dziś dwunasty czerwca, że dziś Boże Ciało.
Zgarniając barłóg z ziemi zapylonej słomą,
chciałam myśl zabłąkaną zawołać na pomoc,
lecz myśl się poplątała z zatęchłym powietrzem,
zastygła, uleciała na niebyłym wietrze.
Dzień się potoczył ten sam, co zwykle bywa
jakby wieczny, zacięty niewzruszony rywal
wieczyście czekający na nieprzyjście tuman
deszczową, zapłakaną, ogromną zadumą.

AKACJE WOLNE

Ach!
W podwórzu zakwitły akacje —
a ja myślałam, że im to wzbronione,
tak jak mnie — po mojemu czuć, myśleć i patrzeć —
tylko wolno się zmienić na drewniany pionek.
Ach! Jakie one (akacje) szczęśliwe,
że są te same, te same co zawsze,
kwitną pod niebo najżywsze i żywe
od Boga sobie pozwolenie dawszy.
Białe są, wonne, ruchliwe i słodkie,
nie myślą, że w więziennym zakwitły podwórzu,
nie słuchają: granica, broń, radio, ulotki
i nie widzą: łzy ciężkie omdlewają kurzem.

(Pawiak — 1941 r.)

ZASŁONA

Na bieg czasu nic nie poradzę,
ani w pędzie go krzykiem nie wstrzymam —
Czoło ciężkich, odwiecznych zgromadzeń
mściwie toczy uparty Aryman.
Przejdą mimo dni związane słońcem,
Matki rodzić będą mimo bólu —
Dziewcząt ręce nocami pachnące
niekochane ciała będą tulić.
Tak czas ciężką zasłonę uszyje
z dni najdroższych, szalonych a marnych —
aż piach oczy zamknięte przykryje
jak lepiąca szminka blade wargi.

H. PLATTA

KRAKOWSKA BRAMA

Gwiazdy spadły na bruk
i olśniły ziemie —
dzwonią końskie kopyta
nad Lublinem tchnie czerwiec
i o przyszłość już pyta.

Czerwiec kwitnie czeremchą
płyną wiatry ulicą
zdala stara katedra
bielą ścian tu prześwieca.

Tyle wieków przeżyła
Tyle złych lat przetrwała
Stara Brama Krakowska
aż od mgieł posiwiała.

Niemcy ją ozdobili
czarnej swastyki znakiem
jednak dziś kamień z cegłą
białym rozkwitły ptakiem.

Jednak dziś oto w czerwcu
Gdy drżą gwiazdy promieniem
Brama stoi jak stała
w długich wieków milczeniu.

Płyną nad nią obłoki
Roztrzepione powieścią
Na jej wieży gra zegar
Nowe dni — nowe wieści.

BRONISŁAW MAJTCZAK

W POWROCIE DO OJCZYZNY

Hen na obczyźnie wczoraj,
Dziś w Polsce jasnym świtem
Ojczystą ziemię witam
Błyszczącą linią toru.

Płachty wydm piachem złote
Przetkane rzędem sosen,
Bladym fioletem wrzosów
To droga snów, powrotu.

Nie stukot kół, lecz serca,
Dziś radość mą wydzwania
Po latach mąk, rozstania,
Ojczyzno, daj mi ręce!

Na wonne dłonie twoje,
Na ciepłą pierś matczyną
Chcę w łzach tęsknoty spłynąć,
Uciszyć się spokojem.

O, chato, kryta słomą,
Ugorze w ostu kwiatach,
O, izbo chwil skrzydlatych
Ty jesteś znów mi domem!

JÓZEF SWATOŃ

„Harfa" i jej mistrz

Nie ma człowieka w Polsce rozmiłowanego w śpiewie chóralnym, któryby nie znał Towarzystwa Śpiewaczego „Harfa" i jej mistrza prof. Wacława Lachmana w Warszawie. Pracy „Harfy" przyświecała zawsze idea pieśni ojczystej i wiara w jej posłannictwo społeczne i narodowe.

31 marca r. b. w sali „Roma" obchodziła „Harfa" 40-letni jubileusz, 50 z rzędu koncert własny, ponad tysięczny występ i 45-lecie pracy swego mistrza. Okazuje się, że „Harfiarze" nadal trwają przy swoim sztandarze, aby kontynuować umiłowaną przez nich pieśń ku chwale nowej, odrodzonej Polski.

Przez 40 lat „Harfa" śpiewała nie tylko w Warszawie, Sosnowcu, na G/Śląsku, w Suwałkach, Augustowie, Grodnie, Wilnie, na Wszechpolskim Zjeździe Śpiewaczym w Poznaniu, na Konkursie Ogólnopolskim Chórów w Warszawie, na Wszechsłowiańskim Zjeździe Śpiewaczym w Poznaniu, na Zjeździe w Krakowie itd., ale też za granicą: w Pradze Czeskiej, Amsterdamie, Hadze, na Węgrzech, w Estonii, Łotwie, Francji i Belgii. Poza nagrodami za granicą, w r. 1936 zdobywa „Harfa" nagrodę Prezydenta R.P. dla Najlepszego Chóru Polskiego podczas I Światowego Zlotu Śpiewactwa Polskiego w Warszawie. Jesienią 1939 r. wybierała się „Harfa" z koncertami do Ameryki, czemu niestety już wojna przeszkodziła.

W czasie okupacji „Harfa" straciła wielką liczbę śpiewaków na pobojowiskach z września 1939 r., na Pawiaku, w Oświęcimiu, Majdanku, na krwawych ulicach powstańczej Warszawy, na polach zwycięskich od Wisły po Berlin. Jednak nieubłaganie trwała do samego końca, śpiewając w mniejszej gromadzie w kościele „Zbawiciela", na konspiracyjnych audycjach szkolnych i na koncertach na cele dobroczynne, zawsze z wezwaniem „lachmanowskim": „Bracia, słuchajcie pieśni". Dnia 3.IX.1944 r. wśród huku bomb i pocisków, przy łoskocie rozpadających się murów, nieustannym złowrogim wyciu przelatujących nad domami bombowców niemieckich, pośród gryzącego dymu i żaru palących się wokół kamienic dwunastka „Harfy" z mistrzem na czele o 7 rano śpiewała na nabożeństwie przy ul. Jasnej, odprawionym w intencji Warszawy i jej nieustraszonych bohaterów. Były to jej ostatnie akordy przed odzyskaniem wolności.

Sam mistrz to 64-letni obecnie człowiek, pełen życia i energii, który życie swoje od roku 1906 poświęcił ukochanej „Harfie". Poza pracą dyrygencką, organizacyjną i szkoleniem nowych — młodych śpiewaków, pisał (i pisze dotychczas) świetne kompozycje na chóry męskie, których na ogół stale brak się odczuwał. Jego pieśni, jak „Siew wiosenny", „Idziem do Ciebie", „Krokusy", 30 pieśni ludowych, 8 zeszytów p. t. „Z naszych stron", „Do Melpomeny", „W górach", „Psalm babiloński", „Rapsod piwniczny" (r. 1943), msze przeróżne i wiele innych, weszły w stały repertuar chórów w Polsce. Wojenne kompozycje jego niestety wszystkie zaginęły. W uznaniu niespożytych zasług dla muzyki polskiej przyznana została dyr. Lachmanowi w r. 1938 Nagroda Muzyczna miasta st. Warszawy i w tymże roku otrzymał Order Polonia Restituta.

A teraz przejdę do samego koncertu jubileuszowego, który ściągnął do „Romy" olbrzymie rzesze świata muzycznego, przyjaciół i sympatyków „Harfy" oraz jej mistrza. Z 70 piersi karnych śpiewaków zabrzmiały nieśmiertelne pieśni polskie w potężny ton. Przy siwych jubilatach - śpiewakach stanęli młodzi — nowi entuzjaści polskiej muzyki chóralnej. Program koncertu był bogaty i bardzo urozmaicony: przez pieśni patriotyczne, pieśni naszych ostatnich zmagań o wolność Polski, partyzanckie do pieśni z oper, miłosnych i ludowych.

W programie figurowały nazwiska doskonałych polskich kompozytorów chóralnych, jak: St. Moniuszko, Z. Noskowski, J. Gall, P. Maszyński, B. Wallek-Walewski, F. Nowowiejski, Wł. Macura i dyr. W. Lachman, jeden obecnie z czołowych i najpoważniejszych twórców muzyki chóralnej.

Chór, mimo nieakustycznej sali, brzmiał doskonale pod względem intonacyjnym, dykcji, frazowania i dynamicznym. Wrażenie wielkie na publiczności zrobiły pieśni pełne głębi i powagi, jak: *„Idziem do Ciebie"* muz. W. Lachmana do słów M. Konopnickiej, *„Na Anioł Pański"* muz. i słowa Wł. Macury; *„Wzywacie Boga"* muz. Krogulskiego i Lachmana, słowa Lasockiego; *„Rapsod piwniczny"* (I-sze wykonanie) muz. Lachmana, słowa K. Ujejskiego i „Do Ojczyzny" muz. F. Nowowiejskiego, słowa Z. Krasińskiego. Pięknie interpretowana była pieśń „Krokusy" do słów Liebelta, muz. Lachmana. Dobrze brzmiała Ballada o Florianie Szarym z op. „Rokiczana", słowa Korzeniowskiego, muz. Moniuszki i pieśń jugosłowiańska z werblem „Na bój!" (I-sze wykonanie). Pieśni partyzanckie znalazły największy oddźwięk wśród publiczności i trzeba było obydwie powtarzać. Miło, lekko i sielsko brzmiały pieśni ludowe. Wzruszającym był śpiew 11 najstarszych harfiarzy t. zw. 40-latków, których młodzi harfiarze udekorowali kwiatami.

Solistami na koncercie byli: Jadwiga Piwońska — miły i dobry sopran: Wiktor Bregy art. opery — tenor o wysokiej kulturze śpiewaczej, Stanisław Soplica-Michalski — baryton, harfiarz; Bronisław Siedlecki — tenor, harfiarz, Józef Borkowski— harfiarz, swego rodzaju artysta na fujarce, oraz H. Ładosz — recytacje.

Prof. Bregy poza pieśniami z chórem, jak Aria z opery Flis Moniuszki i Depplera Fragment z op. Wanda (pięknie wykonanej) odśpiewał z powodzeniem Dumkę z op. Mazepa Münheimera i Niewiadomskiego „Młynarczyk".

Dzielnie akompaniował harfiarz — prof. A. Karnaszewski. Publiczność z entuzjazmem oklaskiwała śpiewaków i dyrygenta, co zmuszało ich do częstego bisowania. Pracowity był to dzień dla „Harfy".

W drugiej części koncertu w imieniu miasta i społeczeństwa, podkreślając zasługi dyrygenta i zespołu, dyr. Ładosz złożył im gorące i serdeczne życzenia w kierunku rozwoju i upowszechnienia muzyki chóralnej.

W końcu wspomnieć należy o pięknie wydanych programach na powyższy koncert i o Księdze Jubileuszowej, wydanej kosztem „Harfy" w darze drogiemu i niestrudzonemu Dyr. Lachmanowi. W hołdzie, w tak wielkie święto swojej „Harfy", otrzymał prof. Lachman dużo kwiecia o barwach narodowych.

Kochany, Drogi Dyrektorze, Wierny Śpiewaku Bohaterskiej Warszawy, żyj długo ku dobru i szerzeniu wśród mas muzyki polskiej chóralnej! Życzę dalszych 40 pomyślnych lat „Harfie" i Tobie! Niech „Harfa" na nowo po wojnie zmartwychwstała dźwięczy i przewodzi swoim ukochaniem sztuki, twardą i konsekwentną dyscypliną oraz dorobkiem artystycznym młodym, tworzącym się chórom w Polsce, a przede wszystkim na ziemiach nowoodzyskanych.

„Śpiewaj więc, miła „Harfo", ludziom ku pociesze,
Rozsiewając czar pieśni szeroko w krąg siebie.
Niech Cię zawsze słuchają niezliczone rzesze,
Bo gdy śpiewasz, to zda się, że człek jest już w niebie.

(Słowa harfiarza W. Roszkowskiego)

Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza

Dnia 25 marca r. b. podczas bytności w Kazimierzu Dolnym konserwator zabytków woj. lubelskiego inż. arch. Zygmunt Knothe powołał do życia T-wo Przyjaciół Kazimierza. Prezesem został prof. Antoni Michalak, znany artysta malarz od lat osiedlony w tym mieście.

Kazimierz Dolny, jedno z najpiękniejszych miasteczek Polski, źródło natchnienia poetów i malarzy, cel niezliczonych wycieczek turystycznych, pełen zabytków i uroku Wisły, wąwozów i wzgórz — obecnie przeżywa tragedię.

Ostatni rok wojny, jesienią 1944 r., zadał miastu ciężki cios. Bohaterskie armie, wypędzające niemców z granic Polski, stanęły wielomiesięcznym frontem na prawym brzegu Wisły, gotując się do dalszej ofensywy. Mieszkańców wysiedlono, zostali nader nieliczni, na własne ryzyko.

Pociski artylerii niemieckiej zadały wiele ran zabytkom miasta i nowym domom, zniszczony został drzewostan. Kilkomiesięczny postój wojska zrujnował wiele domów. Gdy wreszcie można było wracać, nie było w wielu wypadkach do czego i część ludności wyemigrowała do ziem odzyskanych na zachód.

Ocalały ruiny zamku i wieży, kościoły, renesansowe kamienice i spichlerze. Pod opieką konserwatora wojewódzkiego, (uzyskawszy pomoc finansową z Ministerstwa Kultury i Sztuki) naprawiono dachy na przepięknych kościołach, oszklono okna, zabezpieczając tym wnętrza od opadów atmosferycznych. Zamurowano ogromną dziurę wybitą pociskiem w kaplicy południowej Fary. Zabezpiecza się renesansowe domy i spichrze. Ale to nie wszystko. Stoją bowiem w ruinie domy bezpańskie, bez ogrodzeń i sadów pięknych, nikt się nie zgłasza po swą własność. Kazimierz jest wyludniony, bez życia i ruchu. Nie ma studentów Akademii Sztuk Pięknych obozujących tu miesiącami, nie ma wycieczek harcerskich i turystów, nie ma handlu i ruchu. Nie ma komunikacji z Puławami, autobusów czy statków. I dlatego tak bardzo konieczne było odrodzenie T-wa Przyjaciół Kazimierza, by tak na terenie miasta, jak i w innych ośrodkach znaleźć pomoc materialną przez składki, ale co może ważniejsze, znaleźć radę i pomoc moralną w odrodzeniu życia tego miasta, w skierowaniu tam ruchu artystycznego i turystycznego, w dopomożeniu w stworzeniu przemysłu lokalnego, by obudzić ten piękny zakątek Polski na nowo do życia, zaludnić go, by nie tylko Polacy, ale i zagraniczni goście zwiedzali i podziwiali piękno zabytków Kazimierza.

Z. K.

Recital taneczny Weli Lam i uczennic

w Krakowie

Z prawdziwą przyjemnością byliśmy świadkami wyniku rzetelnej zbiorowej pracy, jaką okazała nam Wela Lam ze swoim młodocianym zespołem. Recital taneczny, który odbył się niedawno w sali Teatru Miejskiego im. Słowackiego w Krakowie, przypomniał nam retrospektywnie najważniejsze epoki tańca, poczynając od prymitywu, poprzez antyk, średniowiecze, odrodzenie, rokoko, klasycyzm, kończąc na impresjonizmie i okresie nam współczesnym.

Jako solistka ujawniła p. Lam poczucie stylu, sprawność techniczną i estetyczne podejście ku rozmaitym czynnikom, zawartym w serii tańców. Jako pedagog zdołała p. Lam przepoić dziewiątkę swych uczennic pojęciem karności, jakże ważnej, niezbędnej w zespole, poza tym wydobyła z nich pełnię radości, emanującej z wykonania każdej, poszczególnej scenki choreograficznej.

Nasuwa się kilka zastrzeżeń, łatwych do uwzględnienia i ogólnej natury. Pod karą chłosty, i to natychmiastowej, nie wolno tańcem tłumaczyć muzyki szopenowskiej. Szopen jest naszą świętością i wszelkie przeróbki, czy to w zakresie muzycznym (osławiona „Chopiniana" Głazunowa), czy wykorzystanie materiału muzycznego do ewolucyj baletowych, nie powinny mieć miejsca. Poza tym taniec może graniczyć niekiedy ze słowem, nie tak jednak bezpośrednio, że staje się bezwolnym niejako tłumaczem tekstu poetyckiego, jak w „Elegii konającej jesieni" Staffa. Trzeci i ostatni zarzut to dłużyzny w niektórych punktach programu, zwłaszcza w romantycznych obrazkach tanecznych.

Układ tańców Weli Lam pomysłowy i kulturalny. Kostiumy, zaprojektowane również przez p. Lam, barwne i zajmujące. Nade wszystko w ciekawym szkicu tanecznym „Na tureckim rynku", w którym różnobarwne kostiumy bosych dziewcząt zdawały się sprawiać wrażenie rozwijanej, efektownej makaty. Ze wspomnianej dziewiątki uczennic Państwowej Szkoły Umuzykalniającej wyróżniły się temperamentem i bezpośrednością: Renata Rogozińska i Krystyna Wilczyńska.

Poza orkiestrą, prowadzoną sprawnie przez Jerzego Procnera, na uwagę zasłużył artystyczny akompaniament fortepianowy p. Jadwigi Szamotulskiej. Ciekawy odpowiednik muzyczny do wiersza Tuwima „Śląsk śpiewa" skomponował Walerian Pawłowski. Wiersze Staffa i Tuwima recytował umiejętnie członek Teatru Rapsodycznego, August Kowalczyk. Gładko zapowiadał poszczególne tańce Juliusz Kydryński.

W. G.

Z SALI KONCERTOWEJ

W sprawozdaniu z życia koncertowego Lublina za kwiecień r. b. podkreślić należy produkcje zespołowe, które przez liczebniejszy udział wykonawców stanowią silniejszą atrakcję dla lubelskiej publiczności, niż recitale, przeznaczone dla ustabilizowanych ilościowo i jakościowo grupek sympatyków gry solowej. Atrakcyjnością gry zespołowej jest przy tym większa siła wyrazu wynikająca z różnorodności barw instrumentalnych i wokalnych, a tym samym zwiększona uchwytność idei zawartych w utworach.

Z czterech ostatnich koncertów największą frekwencją cieszył się w dniu 14.IV **inauguracyjny koncert Orkiestry Włościańskiej St. Namysłowskiego**, której walory, powszechnie znane, nic nie straciły ze swego blasku po sześciu latach przymusowego „odpoczynku". Niestrudzony Stanisław Namysłowski powrócił do Zamościa, zmontował przez zimę swą dawną orkiestrę, uzupełnił luki spowodowane wojną i znów pełen zapału i energii stanął „przy pulpicie" kapelmistrzowskim. „Przy pulpicie" w przenośni, bo dyryguje wszystkim z pamięci. Właśnie dziś, gdy zagadnienie upowszechnienia muzyki jest trzonem akcji muzycznej — Namysłowski staje do pracy ze szczerym zamiarem kontynuowania tego upowszechnienia, zapoczątkowanego przez ojca, Karola, już w roku 1882, a więc 64 lata temu.

Orkiestrę Włościańską Namysłowskiego wita społeczeństwo jak swego najlepszego druha, słonecznego przyjaciela z lat mrocznej niewoli i marazmu kulturalnego odradzającej się państwowości.

* * *

Zapowiedziany koncert Namysłowskiego nie osłabił frekwencji na piątkowym **XI-tym koncercie symfonicznym Lub. Ork. Symf.** w dniu 12.IV, z udziałem Wandy Łosakiewicz (fortepian), która wykonała koncert Es-dur — Liszta. Ambitne programy orkiestry, realizowane przez jej stałego dyrygenta Z. Szczepańskiego, nie zawsze podawane są w pożądanej formie, choć stały postęp techniczny orkiestry jest całkiem wyraźny. W obiektywnej ocenie orkiestry musi się jednak wziąć pod uwagę znaczenie społeczne tego rodzaju zespołów i tu właśnie jeszcze raz podkreślić należy olbrzymi wysiłek dyrygenta, któremu dzielnie sekunduje w kwestiach organizacyjnych Kierownik Oddziału Sztuki Zarządu Miejskiego ob. J. Widmański, finalizując zagadnienie reorganizacji orkiestry Towarzystwa Muz. na Filharmonię Miejską, co spotkało się z pełnym uznaniem czynników państwowych, podwyższających dotację na ten cel, i narazie zapewnieniem poparcia finansowego przez miasto.

* * *

Trzecią zespołową imprezą był **koncert religijny pięciu chórów lubelskich** w dniu 14.IV o godz. 5 pp. Z uznaniem podkreślić należy inicjatywę prezesa Zw. Zaw. Muz., dyr. T. Chyły, organizowania występów zbiorowych tut. chórów, lecz wydaje się, że korzyści ze współpracy dyrygentów i współzawodnictwa na estradzie — powiększyłyby się przez pokoncertowe zebrania dyskusyjne z udziałem zaproszonych kolegów-muzyków, na których kwestie interpretacyjne i dyrygenckie znalazłyby rzeczowe i taktowne podane oświetlenie, ku pożytkowi chórów i ich dyrygentów.

* * *

Czwarty koncert zespołowy to **Wielkoczwartkowy Koncert Religijny**, przygotowany starannie przez zespół Smyczkowy Lubelskiej Orkiestry Symfonicznej, chór „Lutnia" i solistów: Z. Massalską, Kr. Szczepańską — śpiew; Al. Koziełła (skrzypce), P. Podobińskiego (organy) i S. Ślepczuka (akomp.). Na specjalne wyróżnienie zasługuje wykonanie po raz pierwszy w Lublinie „Epitaphium" T. Szeligowskiego, natchnionego utworu o dużej sile wyrazu. Rzetelne rzemiosło kompozytorskie, śmiałe wykorzystanie nowoczesnych środków ekspresji muzycznej i efektów kolorystycznych w granicach możliwości instrumentów smyczkowych — to cechy tej pięknej kompozycji, podanej batutą Z. Szczepańskiego ze starannością godną tego rodzaju utworów. Jest rzeczą znamienną, że reakcja publiczności na dzieło apercepcyjnie trudne dla przeciętnego słuchacza —była bardzo żywa. Wyczuwało się nie tylko zainteresowanie kompozytorem, lecz i szczerą chęć przeżywania z nim uczuć i nastrojów zawartych w „Epitaphium".

J. K.

WŚRÓD CZASOPISM

„Meander" — miesięcznik poświęcony kulturze świata starożytnego, pod redakcją prof. Kazimierza Kumanieckiego i prof. Kazimierza Michałowskiego. Z zasiłku Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty. Trzaska — Evert — Michalski. Warszawa Rok I Nr 2.

Zaczyna numer Gustaw Przychocki artykułem „Nie myśmy pierwsi", wykazując na bardzo wielu interesujących przykładach, że starożytni również w dziedzinie wielkich odkryć przyrodniczych i wynalazków technicznych byli tak często prekursorami współczesności. W żywym opisie Stefana Oświęcimskiego występują zarówno wszystkie materialne bolączki rzymskich poetów, zakulisowe sprawy wydawnicze, jak i dyskretna a silna opieka cesarza Oktawiana Augusta i Mecenasa nad literaturą rzymską. Kazimierz Bulas w artykule „Ekspansja sztuki greckiej na środkowym i dalekim wschodzie" omawia szeroki zasięg wpływów sztuki greckiej; Gandara w Indiach, Baktria (późniejszy Turkiestan), Noin Ula w Mongolii — to są najważniejsze punkty kontaktu ducha helleńskiego ze światem azjatyckim. Lidia Winniczuk kreśli obraz społeczeństwa cesarstwa rzymskiego w ujęciu satyryka Juvenalisa i listów Pliniusza Młodszego; temperament satyryczny Juvenalisa używał sobie, korzystając z wolności słowa za Trajana, na zgniliźnie moralnej czasów Domicjana, umiarkowana zaś krytyka Pliniusza Młodszego jest wynikiem szczególnie tego, że pisał o współczesnych. Na tle wiersza Mickiewicza „Popas w Upicie" omawia Jerzy Kowalski stosunek klasyków i romantyków do nauki i mitu. Zamyka interesujący numer „Peryklesowa pochwała demokracji ateńskiej", wyjęta z dzieła Tucydydesa „O wojnie peloponeskiej" w przekładzie Kazimierza Kumanieckiego.

Ant. M.

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ ZA II-GI KWARTAŁ

WŚRÓD KSIĄŻEK

Władysław Grabski — „Saga o Jarlu Broniszu"— Poznań — Księgarnia św. Wojciecha.

Po „Dzikowym skarbie" K. Bunscha, powieści osnutej na tle panowania pierwszych Piastów, mamy do zanotowania nowe dzieło, którego akcja rozgrywa się za czasów Bolesława Chrobrego. Jest to pierwsza część „Sagi o Jarlu Broniszu": „Zrękowiny w Upsali", pióra autora „Kłamstwa" Władysława Grabskiego. Już na wstępie należy podkreślić, że książka W. Grabskiego ma ambicje nieprzeciętne i jest zakrojona na poważną skalę. Akcja powieści toczy się na Pomorzu a przede wszystkim w Skandynawii, gdzie na tronie królewskim zasiada siostra B. Chrobrego, piękna Sigrida. Bohaterem „Sagi" jest jarl imieniem Bronisz, wierny sługa kniazia Bolka i jego poseł do państw skandynawskich. Bronisz ratuje z płonącego domu piękną Helgę, córkę jarla Jaranda, siostrę królowej Sigridy, zyskując wzamian serce szlachetnej dziewczyny. Obok tej miłości rozkwita inna—miłość Olafa Tryggwasona, późniejszego władcy Norwegii, do Sigridy. Charakter Olafa nierówny i burzliwy, a często nawet przewrotny odpycha Sigridę. Olaf musi opuścić Szwecję. Sigrida zostaje zaś żoną Swenda. „Saga" W. Grabskiego wprowadza na scenę szereg postaci historycznych. Do najciekawszych należy św. Wojciech, w oświetleniu dość zresztą szablonowym.

Najważniejszą z zalet ostatniej powieści Wł. Grabskiego jest doskonale oddany żywioł morza.

Lekturę książki utrudnia istny gąszcz imion, nazw, rzek, miast, oraz skomplikowane słownictwo wprowadzone przez autora.

jnk.

REPERTUAR NA „ŚWIĘTO OŚWIATY"

W związku ze Świętem Oświaty, które odbędzie się w całej Polsce w dniach od 1—3 maja, wydana została inscenizacja przeznaczona dla zespołów świetlicowych i teatralnych p. t. „Taka jest siła książki moc". (Sąd nad Latarnikiem) opracowana według noweli Henryka Sienkiewicza przez Stanisława Iłowskiego. Inscenizacja ta przeznaczona jest na wieczory literackie i świetlicowe poświęcone książce i może być wykonana w każdej choćby najmniejszej sali bez sceny przy udziale siedmiu osób grających. Cena egzem. zł 25.

Do nabycia w Towarzystwie Teatru i Muzyki Ludowej w Warszawie ul. Reja 9 oraz wszystkich wojewódzkich Oddziałach Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej w Polsce.

POLSKIE TOWARZYSTWO MUZYCZNE

P. T. M. zostało powołane do życia w kwietniu 1945 r. przez Ministerstwo Kultury i Sztuki — staraniem Dyrektora Departamentu mgr. M. Drobnera. Siedziba P. W. M. w Krakowie, Basztowa 23.

P. W. M. jest przedsiębiorstwem państwowym, uzależnionym od Departamentu Muzyki Ministerstwa Kultury i Sztuki i kierowanym przez powołanego przez Ministra Kultury i Sztuki na stanowisko Dyrektora Ob. Tadeusza Ochlewskiego. Przy P. W. M. istnieje Państwowa Muzyczna Rada Wydawnicza, w skład której wchodzi 34 wybitnych muzyków ze wszystkich miast Polski. Przewodniczącym Rady jest prof. A. Chybiński, zastępcą Stanisław Wiechowicz, sekretarzem Rady Z. Mycielska.

Zadaniem Rady wydawniczej, powołanej przez Ministra Kultury i Sztuki, jest ustalenie planu wydawniczego dla P.W.M., ale jest ona również organem opiniodawczym i doradczym Min. Kultury i Sztuki w sprawach wszystkich wydawnictw nutowych i książkowych z zakresu muzyki.

Celem umożliwienia wykonania na estradach koncertowych większych utworów muzycznych, które nie zostały jeszcze wydane, P.W.M. stworzyło bibliotekę materiałów pisanych, do wypożyczenia, która stale powiększa się i zawiera już dziś 165 pozycji katalogowych.

Poza wydanymi 23 zeszytami muzycznymi do chwili obecnej P. W. M. wydaje miesięcznik „Ruch Muzyczny".

KOMISJA ZABEZPIECZENIA BIBLIOTEK I ZBIORÓW MUZ. NA TERENIE M. ST. WARSZAWY.

Zadaniem Komisji jest: a) gromadzenie informacji o pozostających bez opieki i stosownego zabezpieczenia bibliotekach i zbiorach muzycznych publicznych i prywatnych, b) odkopywanie, zwożenie, magazynowanie i zabezpieczanie bibliotek i zbiorów muzycznych, c) sporządzanie inwentarzy zabezpieczonych bibliotek i zbiorów.

Członkami Komisji są prof. prof. Adam Chromiński i Sz. Waljewski.

Pod kierunkiem Komisji zostały odkopane z gruzów: część biblioteki Filharmonii Warszawskiej, Warszawskiego Tow. Muzycznego, klisze wydawnictw Warsz. Tow. Muzycznego dzieł Karłowicza i Moniuszki. Zbiory te zostały zabezpieczone i złożone w lokalu Warszawskiego Tow. Muzycznego, Szpitalna 5. Biblioteka jest porządkowana i katalogowana.

Obecnie korzystają z uratowanych zbiorów wszystkie orkiestry w Polsce, jak Warszawy, Krakowa, Katowic, Poznania, Lublina i t. d.

INSTYTUT BADANIA SZTUKI LUDOWEJ W WARSZAWIE

Zarządzeniem Ministra Kultury i Sztuki powołano do życia przy Ministerstwie Instytut Badania Sztuki Ludowej.

Na stanowisko dyrektora Instytutu został powołany dotychczasowy naczelny dyrektor Muzeów i Ochrony Zabytków, Józef Grabowski.

Z zadowoleniem należy powitać inicjatywę znanego badacza sztuki ludowej, który stanął na czele tak pożytecznej dla kultury polskiej placówki.

„WARSZAWA 1945"

W Muzeum Narodowym Wiceminister **Kruczkowski** dokonał otwarcia wystawy pod nazwą „Warszawa 1945 w obrazach fotograficznych Jana Bułhaka".

W jednej z sal zebrano plansze, obrazujące prace około odbudowy Stolicy. W ten sposób, oprócz dokumentów barbarzyństwa niemieckiego i strat przez nas poniesionych, dał Bułhak świadectwo niczym nie osłabionej energii i woli twórczej narodu.

WYSTAWA RĘKODZIEŁA ARTYSTYCZNEGO

Druga z kolei wystawa tkanin Heleny i Stefana Galkowskich, rękodzieła artystycznego i przemysłu ludowego, urządzona została przy współudziale Ministerstwa Kultury i Sztuki, Samopomocy Chłopskiej oraz Dyrekcji Muzeum Narodowego. Stanowi ona przegląd pierwszych poczynań produkcji rękodzieła artystycznego w dobie powojennej i pozwoli ustalić możliwości zwiększenia produkcji dla eksportu zagranicę.

DNI KULTURY NA MAZURACH

Z inicjatywy Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej w Olsztynie odbyło się zebranie poświęcone zorganizowaniu w okresie Zielonych Świąt uroczystości regionalnych pod ogólną nazwą „Dni kultury ludowej warmijsko-mazurskiej".

Przewidziane jest urządzenie barwnego widowiska scenicznego, mającego jako podłoże szereg prawnych zwyczajów ludowych. Prócz widowiska odbędą się występy chórów oraz zespołów teatralnych.

APEL KOMISJI DLA BADANIA ZBRODNI NIEMIECKICH

Instytut Zachodni w Poznaniu, powołany przez Główną Komisję dla Badania Zbrodni Niemieckich do współpracy, opracowuje zagadnienie niemieckiej polityki narodowościowej na ziemiach polskich. Z tego względu zwraca sę Instytut do wszystkich osób, które mogłyby podać interesujące szczegóły na ten temat, o spisanie swoich wrażeń i przesłanie opisu Instytutowi Zachodniemu, Poznań, ul. Chełmońskiego 1.

Chodzi tu głównie o ustalenie metod, którymi Niemcy posługiwali się przy wpisie na niemiecką listę narodową, i jak na te metody reagował naród polski. Zabezpieczenie śladów zbrodni niemieckich jest powszechnym, obywatelskim obowiązkiem. Osoby, które nie życzą sobie, by w publikacjach, zawierających naukowe opracowanie tego problemu, przytaczano ich nazwiska, uprasza się, by odnośne życzenia Instytutowi zakomunikowały.

Kierownik Sekcji Dokumentacyjnej
Dr Karol Marian Pospieszalski

»WIARA GÓRY PRZENOSI« — Pod światło

W 14 numerze „Kuźnicy" „j. k." udziela lekcji recenzentom polskim, jak uniknąć bełkotu, na przykładzie mojej recenzji z tomu „Ocalenia" Miłosza, zamieszczonej w nr. 5 „Zdroju", faktycznie sugerując swoje metody analizy tekstu. Nauczony przez ob. „j. k." sięgam po pierwszy lepszy tekst tegoż nr. „Kuźnicy". Najlepiej zacząć od artykułu „Szaleństwa i wiedza o stylu" poruszającego, ogólnie biorąc, te same kwestie. Autor artykułu tak pisze: „...Obfitość a niekiedy i bałamutność polemicznych pogłosów artykułów Sandauera i Wyki zniewala do poczynienia zasadniczych wyjaśnień".

Caca obfitość, że zniewala, ale nie caca autor, który się daje zniewolić.

„...Gdyby nie złudzenia — jak się okazało — nadzieja, że głupstwo zginie wnet własną śmiercią, należało porzucać zjadliwych not...".

Należało. Skoro ma głupstwo zginąć własną śmiercią, to prawdopodobnie wypada porzucać zjadliwych not.

„...I chociaż dużo łatwiej jest wykpić nonsensy, od jakich roją się zwykle tego rodzaju enuncjacje krytyków, ja będę się starał interpretować je w dobrej wierze..."

Słusznie. Krytycy podziękują, a wiara podobno góry przenosi... Doskonała metoda.

J. Nagrabiecki

K R O N I K A

MUZYKA

Warszawa

Zarząd Główny T. U. R. urządził akademię dnia 6 marca w sali „Roma" w Warszawie, pod nazwą **„Stulecie Powstania Krakowskiego"**. Sala niemal cała wypełniona była młodzieżą i po części tylko dorosłymi ludźmi. Wstęp był bezpłatny. Przedsięwzięcie i organizacja godne poklasku! Akademię poprzedził odczyt redaktora R. Werfla. Po odczycie nastąpiła część koncertowa, w której udział brali: Olga Orleńska (śpiew), Nella Bogacka (fortepian i akompaniament), Stefan Martyka (recytacje), Chór Reprezentacyjny PPS „Polonia" pod dyr. St. Jezierskiego i Orkiestra Ludowa Zrzeszenia Muzyków pod batutą Jana Kolasińskiego.

Dnia 14 kwietnia r. b. w kościele P. P. Wizytek wykonane zostało **Oratorium Męki Pańskiej** wg ewangelii św. Mateusza w układzie L. Perossi'ego (i Hoppego). Partie solowe wykonali artyści: Kr. Brelóczy (sopran), J. Kłossówna (alt), M. Szopski (tenor), J. Korolkiewicz (baryton), J. Fandri (baryton), Wł. Skoraczewski (bas) oraz Chór Związku Harcerstwa Polskiego pod kier. Wł. Skoraczewskiego. Partię organową wykonał J. Dobrowolski. Chór Harcerstwa znany jest z częstych i udanych występów w Warszawie i w okolicznych miastach stolicy.

* * *

„Dzień Święta Kobiety" obchodzono uroczyście w Warszawie. W „Romie" „Liga Kobiet" urządziła akademię, na program złożyły się: odczyt, występy solowe, duety, kwartety muzyczne i choreograficzne.

Fabryka „Wedla" w swojej pięknej sali również urządziła akademię. Poza przemówieniami miały miejsce występy solowe, zespół taneczny, chór miesz. pod kier. Szymanowskiego, Orkiestra Ludowa Zrzeszenia Muzyków pod bat. Sobczyńskiego i niezrównany humorysta - satyryk Jaksztas, który swego pióra satyrami, jak „W gabinecie figur woskowych", „Miłość na kartki" i innych rozbawił doskonale publiczność.

* * *

Staraniem Wydziału Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy w ramach „czwartków literacko - artystycznych na Ratuszu" odbył się w P.B.K. wieczór, poświęcony sztuce i pieśni szwedzkiej w wykonaniu J. Strachockiego oraz E. Gistedt.

Poznań

Niedawno odbyła się premiera „Cyganerii" w Teatrze Wielkim w Poznaniu, dyrygował dr Z. Latoszewski, reżyserował K. Urbanowicz. Publiczność dopisała i żywo oklaskiwała solistów i zespół.

W Rozgłośni Pol. Radia w Poznaniu odbył się konkurs na najlepszego piosenkarza. Zakwalifikowano 39 kandydatów.

W Poznaniu dnia 11 marca odbyła się akademia żałobna ku czci F. Nowowiejskiego. W akademii wzięła udział orkiestra symfoniczna pod dyr. Z. Latoszewskiego oraz dr. S. Zawadzka (sopran). Przemówienia wygłosili: dr T. Nowakowski i prof. Fr. Łukasiewicz.

Kraków

15 marca r. b. w Filharmonii Krakowskiej wykonano jedno z najpiękniejszych klasycznych dzieł „Symfonię Jowisza" Mozarta oraz „Szkice symfoniczne" Zygmunta Mycielskiego. Dyrygował W. Bierdajew. Jako solistka wystąpiła B. Kostrzewska, która wykonała kilka aryj operowych.

Bydgoszcz

W Bydgoszczy odbył się Zjazd działaczy śpiewaczych i dyrygentów chórów z całego Pomorza. W dniach 9 i 10 czerwca r. b. odbędzie się w Bydgoszczy wielki festiwal muzyczny z udziałem 2.000 śpiewaków. Poza chórami świeckimi i kościelnymi wystąpią też orkiestry symfoniczne i dęte.

J. Sw.

◆

ODNALEZIENIE ARCYDZIEŁ LEONARDA DA VINCI I REMBRANDTA

wykradzionych z muzeów polskich

Delegat Min. Kultury i Sztuki do spraw rewindykacji polskiego mienia kulturalnego w Niemczech dr K. Estreicher odnalazł w Monachium 85 najcenniejszych obrazów, wywiezionych przez okupanta z Warszawy i z Krakowa. M. in. znalazły się: słynna „Dama z łasiczką" Leonarda da Vinci oraz pejzaż Rembrandta — oba obrazy ze zbiorów Muzeum Czartoryskich w Krakowie, 9 obrazów Canaletta z widokami Warszawy, pochodzących z zamku Warszawskiego, 6 obrazów Kaulbacha z kościoła Mariackiego, obraz Watteau z pałacu Łazienkowskiego, przedstawiający damę polską oraz szereg obrazów z pałacu Wilanowskiego i z Muzeum Diecezjalnego w Tarnowie.

Należy przypuszczać, że obrazy te wrócą do kraju w połowie kwietnia wraz z ołtarzem Wita Stwosza.

◆

MUZEUM REGIONALNE W GDYNI

Wkrótce zostanie otwarte w Gdyni Muzeum Regionalne. Miejscowy Wydział Kultury i Sztuki już od dawna gromadzi eksponaty nowe i pochodzące z istniejącego przed wojną Muzeum Kaszubskiego w Gdyni. Wśród eksponatów znajduje się m. in. oryginalna broń sławnych kosynierów gdyńskich — bagnet oprawiony na długim drzewcu. Taką bronią bohaterscy obrońcy Polskiego Morza walczyli przeciw hitlerowskim tankom.

◆

ŚREDNIOMETRAŻOWY FILM PRODUKCJI POLSKIEJ

Przed kilku dniami wysłany został do Ameryki film p. t. „UNRRA w Polsce" zrealizowany przez „Film Polski" na zamówienie delegacji UNRRA w Polsce.

Film ten ilustruje zniszczenia wojenne w kraju i dotychczasową akcję pomocy ze strony UNRRA oraz mówi o konieczności zwiększenia dostaw ze względu na wielkie potrzeby, jakie kraj nasz odczuwa w każdej dziedzinie życia.

Film posiada komentarz angielski i zadaniem jego będzie informowanie społeczeństwa w krajach anglosaskich o dzisiejszych potrzebach naszego państwa.

Zdjęcia do filmu wykonali operatorzy P. K. P. z Wł. Forbertem na czele. Montaż W. Kaźmierczak.

Odpowiedzi Redakcji:

M. R. w Lublinie — Nie skorzystamy.
M. B. we Włodawie — Słabe.
H. D. w Lublinie — Nie zamieścimy.
W. H. w Krakowie — Artykuł stosownie do życzenia zwróciliśmy listem poleconym.
G. D. w Jeleniej Górze — Wydrukujemy.
Z. M. w Radomiu — Skarży się pani na brak „Zdroju" w kioskach. Najlepiej więc pismo zaprenumerować.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45.

Redakcja przyjmuje: poniedziałki, środy i piątki od godz. 14 do 15.

Administracja czynna codziennie od godz. 9—12 i 16—18.

Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się.

Numer pojed. 6 zł. Prenumerata wraz z opł. poczt.: miesięcznie 13 zł, kwartalnie 39 zł.

Redaguje: Zespół. Wydaje: FRANCISZEK TWARDOŃ.